TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU

ROCZNIK XX ZESZYT 5

*

ZESZYT POŚWIĘCONY DAWNYM ORGANIZACJOM TATERNICKIM ORAZ POLSKIEJ WYPRAWIE POLARNEJ NA SPITSBERGEN

Treść:

ZESZYT ZAWIERA 3 MAPY, 2 PANORAMY, 10 FOTOGRAFIJ POZA TEKSTEM I 6 FOTOGRAFIJ W TEKŚCIE ponadto MAPĘ FOTOGRAMETRYCZNĄ ZIEMI TORELLA wykonaną przez WOJSKOWY INSTYTUT GEOGRAFICZNY w Warszawie.

*

KRAKÓW—WARSZAWA, CZERWIEC 1936 R.

REDAKCJA: J. A. SZCZEPAŃSKI, KRAKÓW, UL. A. POTOCKIEGO 8
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4

CENA ZESZYTU 1·50 ZŁ. PRENUMERATA ROCZNA 4 ZŁ.
KONTO CZEKOWE „TATERNIKA“ NR. 409.570

NAKŁADEM KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

Polecamy uwadze wszystkich Czytelników

1. Zarząd Klubu Wysokogórskiego urzęduje w Warszawie. Adres Klubu: Warszawa, Żórawia 9 m. 1. Tymczasowe konto czekowe P. K. O. Nr. 4000. Wpłaty na to konto należy koniecznie uzupełniać dopiskiem: „na rachunek Klubu Wysokogórskiego“.

2. Adres redakcji i administracji „Taternika“ pozostaje bez zmiany. Konto czekowe „Taternika“ Nr. 409.570.

3. Dla celów propagandowych wprowadza wydawca „Taternika“ wydatną obniżkę ceny prenumeraty i pojedyńczych zeszytów pisma. Prenumerata roczna „Taternika“ wynosi obecnie zaledwie 4 zł. Cenę pojedyńczego zeszytu ustalono na 1 zł (zeszytów specjalnych na 1·50 zł). Zwracamy się do wszystkich przyjaciół „Taternika“ o jednanie nam nowych czytelników i prenumeratorów.

4. Członkowie Klubu i Prenumeratorzy „Taternika“ winni — celem zapewnienia sobie regularnego otrzymywania pisma — bezwłocznie zawiadamiać wprost Administrację „Taternika“ o każdej zmianie swego adresu.

Ponadto Zarząd Klubu przypomina pp. Członkom Klubu, aby o zmianach adresu zawiadamiali również Zarząd tego Koła Miejscowego K.W.P.T.T., do którego należą.

TATERNIK

ROCZNIK XX ★ KRAKÓW, CZERWIEC 1936 R. ★ ZESZYT 5

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

Jeśli «Taternik», jako organ dzisiejszego Klubu Wysokogórskiego, poświęca znaczną część osobnego zeszytu wczorajszym organizacjom polskiego taternictwa, to nietylko dlatego, aby gest dżentelmeński uczynić w stronę tej przeszłości, z której idea i siły żywotne Klubu wyrosły. Powstanie Klubu Wysokogórskiego stało się punktem zwrotnym dla konsolidacji sił całego naszego ruchu wysokogórskiego — i skoro «Taternik» od lat bezmała trzydziestu bacznie trzyma rękę na pulsie jego życia, to i dzisiaj — aby sumiennie spełnić swe tradycyjne zadanie odzwierciadlania ewolucji, dokonywującej się stale w życiu polskiego środowiska wysokogórskiego — poczytuje za swój obowiązek nadać zeszytowi niniejszemu przynajmniej taką formę, w jakiej go czytelnikom przekazuje.

Poprzez kolejne pokolenia górskie — od lat trzydziestu kilku wiją się barwną smugą dzieje polskiego nowoczesnego taternictwa. Jego przemiany ideologiczne, okresy wzlotów i upadków, wyciskają znamię i na jego organizacyjnej stronie. «Walka pokoleń» i nieuchronne zwycięstwa «młodych» nad «starymi» znajdują swój wyraz — może tylko trochę opóźniony w czasie — również w formach organizacyjnych. W okresie przedwojennym procesy te dokonywały się w zamkniętych ramach Sekcji Turystycznej T-wa Tatrzańskiego, w których wygodnie mieścił się cały integralny ruch taternicki liczniejszych podówczas środowisk — w Krakowie, Lwowie, czy w Zakopanem. Okres powojenny postawił jednak polskie taternictwo w zupełnie odmiennych warunkach. Młode akademickie środowisko krakowskie wnosi w taternictwo ideologję, która nie mogła swego «modernizmu» pomieścić w «klasycznych» ramach Sekcji Turystycznej, i dopiero w roku 1928 — gdy 25-letni jubileusz Sekcji Turystycznej formalnie zamknął «niepowrotny dzień» taternickiego przedwojnia — dopiero po zgórą czterech latach działalności Sekcji Taternickiej krakowskiego AZS, przedstawiciele jej obejmują ster Sekcji Turystycznej PTT, aby niebawem zawładnąć całokształtem jej prac i zapoczątkować w tej najstarszej polskiej organizacji taternickiej historyczny już dzisiaj «okres STAZS»... A gdy na gruzach stosunkowo krótkotrwałej Sekcji Taternickiej AZS w Warszawie powstaje zwarte i ekspansywne Koło Wysokogórskie przy Oddziale Warszawskim PTT, zjawia się w taternictwie nowy czynnik, nigdy dotychczas nieodgrywający istotnej roli — czynnik rywalizacji środowisk: warszawskiego i krakowskiego. W czasach współczesnych rywalizacja ta w sposób wyraźny uwydatnia przewagę środowiska warszawskiego. Gdy zaś ekspansja egzotyczna stanie się naczelnem hasłem polskiego ruchu wysokogórskiego — i gdy na tem jeszcze polu zmierzą się siły i żywotność poszczególnych środowisk — przeniesienie siedziby powstałego w jesieni 1935 r. jednolitego Klubu Wysokogórskiego do Warszawy będzie już życiową koniecznością.

Że zatem zrąb dzisiejszego Klubu Wysokogórskiego tworzy środowisko warszawskie, jemu właśnie «Taternik» poświęca w niniejszym zeszycie miejsce najobszerniejsze, łącząc z obrazem jego dziejów omówienie tej egzotycznej wyprawy, która najściślej i najwyłączniej związana była ze środowiskiem warszawskiem — a która zarazem w «Taterniku» nie znalazła jeszcze szczegółowego opracowania — t. j. z Polską Wyprawą Polarną na Spitsbergen.

1902—1935

Poświęcając bieżący zeszyt «Taternika» omówieniu roli turystycznej i organizacyjnej tych klubów i zespołów taternickich, które ostatecznie w 1935 r. doprowadziły do powstania Klubu Wysokogórskiego PTT — niesposób nie otworzyć serji artykułów hołdem dla tej organizacji, która ruch taternicki po raz pierwszy skupiła i która przodowała w nim najdłużej. Jeżeli polska współczesna turystyka wysokogórska posiada tak mocne fundamenty i tak wspaniałą tradycję, jakie są jej dobrem i chlubą, to jest to zasługa tych ludzi, którzy przed trzydziestu czteroma laty po raz pierwszy zawiązali stowarzyszenie entuzjastów wspólnej nam wszystkim idei.

O Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego, założonej w Zakopanem *de facto* już w dniu 12 sierpnia 1902 r., a *de jure* w dniu 25 lipca 1903 r., ogłaszał jednak «Taternik» parokrotnie dłuższe prace, np. w osobnym zeszycie na ćwierćwiecze istnienia Sekcji, lub w 1934 r. w próbie historycznego bilansu. Nie powrócimy więc do tych tematów, i ograniczymy się jedynie do kilku głównych rzutowań, uwydatniających zasadniczy pion życia Sekcji. Nie zapomnimy przytem, że, prawnie, Klub Wysokogórski jest bezpośrednim *dalszym ciągiem* Sekcji i nowym etapem jej rozwoju. Najnowszy statut Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (z 1935 r.) powiada w § 54: «Sekcja Turystyczna PTT przekształca się na Klub Wysokogórski PTT...».

Spójrzmy na dzieje człowieka w Tatrach. Aż niemal do czasów Chałubińskiego i Pawlikowskiego — polskiemu ruchowi wysokogórskiemu wystarczała najzupełniej inicjatywa i akcja wprost. Turystyka, ba!, taternictwo Stasziców, Zejsznerów i Janotów obchodziło się doskonale bez podbudowy organizacyjnej. Turystykę tę uprawiały bowiem tylko jednostki.

Ale lata 70-te ub. stulecia przyniosły tak znaczny rozrost tej turystyki, że, w następstwie, konieczność założenia towarzystwa, któreby tę turystykę regulowało i ułatwiało jej odbywanie, zaznaczyła się wyraźnie. Oto — w najzwięźlejszym skrócie — przyczyna powstania «Towarzystwa Tatrzańskiego z siedzibą w Krakowie», które wzięło się zaraz do budowy ścieżek i schronisk, do działalności wydawniczej, do opieki nad przewodnictwem... Rosnący ruch taternicki znalazł w tej organizacji zupełnie wystarczające oparcie. Każdy ówczesny taternik popierać musiał udostępnianie gór, i rozwój fachowej literatury górskiej i kształcenie przewodników, którzy byli dlań w górach niezbędnymi opiekunami. Nie należy przytem zapominać, że w owych latach było dzisiejsze PTT niemal wyłącznie towarzystwem tatrzańskiem i że nazwa jego pokrywała się wówczas najściślej z treścią jego prac.

W miarę jednak jak TT rozrastać się poczęło o cały świat turystyki karpackiej i przekształcać w gospodarza całych gór polskich — dostrzegli turyści wysokogórscy potrzebę wyodrębnienia się w łonie ogólnego towarzystwa w osobną, ściśle problemom turystyki wysokogórskiej poświęconą organizację, któraby sprawniej niż całość TT kierowała czynną turystyką tatrzańską. Tu tkwi podstawowy powód powołania do życia przez ówczesny Wydział TT osobnej Sekcji Turystycznej, której sama nazwa określiła najtrafniej jej cele i założenia. Sekcja miała odbudować i rozwinąć turystykę tatrzańską która w ostatnich dwu dziesiątkach lat XIX wieku chyliła się coraz wyraźniej do upadku i której odrodzenie przez wysiłek zespołowy zapowiadali też proroczo założyciele Sekcji.

Sekcja powstała, Janusz Chmielowski, najwybitniejszy owych lat taternik, stanął na jej czele — już niebawem uwydatniła się jednak poważna dysproporcja pomiędzy tem, czem Sekcja była istotnie, a tem, ku czemu kie-

rowały ją losy. Rozbieżność ta powstała na tle faktu, że niemal równolegle z założeniem Sekcji urodziło się nowoczesne taternictwo polskie, dla którego ramy Sekcji w jej pierwotnej postaci odrazu okazały się za ciasne.

Aż do czasów Chmielowskiego taternictwo i turystyka tatrzańska szły zgodnie i były właściwie tem samem pojęciem. Każdy czynny turysta tatrzański był zarazem taternikiem, przy ówczesnym stanie odkrywczych wycieczek tatrzańskich było to najprawdziwszą prawdą. Wystarczy też przypomnieć, że przy zakładaniu Sekcji wystąpili we wzruszającej zgodzie działacze, których i dziś nazywamy taternikami, obok działaczy wyłącznie turystycznych (Bek obok Chmielowskiego, Ciąglewicz obok Świerza, taksamo Brensztejn, Fischer czy Czaplicki). Że te dwa kierunki porozumiały się i na przyszłość, świadczy również skład pierwszego Zarządu Sekcji, w którym obok Chmielowskiego, przewodniczącego, zasiadał dr Zygmunt Balicki w charakterze jego zastępcy. Owocem tego kompromisu był też pierwszy statut Sekcji, który jako cel Sekcji ustalał «pracę około rozwoju turystyki polskiej, szerzenie wśród ogółu zamiłowania do taternictwa i ułatwianie zwiedzania Tatr», a na członków Sekcji przyjmował każdego członka TT, byle opłacającego dodatkową składkę 2 koron rocznie.

Niezwykle szybki rozkwit nowoczesnego taternictwa bezprzewodnikowego z każdym rokiem pogłębiał jednak przepaść pomiędzy turystą a samodzielnym zdobywcą skalnych dróg. Na tle niedostatecznie uwydatnionej przebojowości Sekcji Turystycznej, już w 1904 r. zawiązały się poza nią dwa pierwsze zespoły ściśle taternickie: *Bacówka* dra K. Panka oraz *Himalaja Klub* Klemensiewicza, Kordysa i Maślanki.

Dwa te, «prywatne» niejako zespoły, pierwsze z szeregu grup taternickich, skupionych w poszczególnych ośrodkach i około pewnych ludzi, wchodzą już ok. 1907 r. do Sekcji Turystycznej. Następuje zaraz jedna z najważniejszych zmian w jej życiu: przekształcenie się w klub zamknięty, o charakterze wyłącznie taternickim, wydający swój własny, ściśle taternicki organ klubowy. Hasłem powszechnem staje się samodzielność i dorównanie alpinizmowi. Jeździ się w skalne Alpy dla porównania i doszkolenia swej taternickiej klasy.

Następuje wspaniały szturm młodych na coraz trudniejsze urwiska Tatr, przyczem organizacja Sekcji Turystycznej potrafi rozwijać się doskonale z duchem czasu i wchłaniać do swego grona każdoczesne nowe grupy taternickie, pojawiające się w poszczególnych ośrodkach. W ten sposób po zakopiańskiej grupie Chmielowskiego kieruje sprawami Sekcji lwowski Himalaja Klub, poczem ster spraw Sekcji przechodzi w ręce najmłodszej generacji przedwojennych taterników, krakowskiego *Kilimandżaro Klubu* (Świerz, Kulczyński, bracia Goetlowie...). Przesunięcia te odbywają się gładko, nawet przemiany ideologiczne dokonują się naogół bez wstrząsów. Także stosunki Sekcji z macierzystem towarzystwem, choć nadwerężone chwilowo niezrozumieniem taternickiej wyłączności Sekcji przez ogół pracowników TT, ostatecznie się wygładzają i układają pomyślnie.

Podważa trwałość Sekcji dopiero rok 1918, nawet nie sama wojna światowa (która mogła być jedynie przerwą w działalności Sekcji, przerwą powszechną w owych latach i temsamem bez znaczenia) — podważają jej znaczenie nowe hasła, ściśle sportowe, otwarcie Tatr dla dalszych ośrodków polskiego życia, z Warszawą na czele, nowe grupy elitarne, które popadły w pewien psychiczny konflikt z powracającą z wojny do Sekcji elitą przedwojenną. W latach powojennych nie wykazuje już Sekcja tej elastyczności, która pozwalała jej dawniej stać zawsze na czele aktualnego ruchu taternickiego. Podczas gdy w Sekcji pozostają taternicy dawniejsi — młodzi, grupa

Sokołowszczyzny, zakładają w 1924 r. Sekcję Taternicką przy AZS w Krakowie. Po raz pierwszy obok Sekcji Turystycznej pojawia się inna oficjalna organizacja. Oznacza ten fakt wyczerpanie się zdolności asymilacyjnych dawnej Sekcji, i — już wówczas — konieczność przebudowania jej od podstaw.

Kilku taterników pokoleń przedwojennych doostatka walczyło na ścianach tatrzańskich, ale szturm młodych nie mógł być odparty. Od 1926 r. kierownictwo ruchem taternickim przeszło bezspornie w ręce STAZS. Nowy zespół, który się w Tatrach pojawił, *Grupa Syfonów*, znalazł w STAZS życzliwe przyjęcie i oparcie. Niebawem objął ów zespół i kierownictwo Sekcji Turystycznej.

Po raz to ostatni okazała wówczas dawna Sekcja Turystyczna zdolności absorbcyjne. Na utrzymanie jej dawnej formy organizacyjnej było już jednak zapóźno. Zlikwidowano wprawdzie, faktycznie jeśli nie formalnie, STAZS krakowską, pojawiła się jednak zaraz STAZS w Warszawie, następnie Koło Wysokogórskie przy Oddz. Warszawskim PTT, a wreszcie i próby osobnego zorganizowania środowiska zakopiańskiego. To też w ostatnim okresie istnienia dawnej Sekcji stanęli jej kierownicy pod hasłem jej przekształcenia w związek zgodnie współpracujących wszystkich ośrodków taternickich, pod hasłem unifikacji ogólno-polskiego ruchu wysokogórskiego. Jednocześnie podjęto z niebywałą siłą próbę zrealizowania programu rozszerzenia taternictwa o czynny alpinizm, najpierw sportowo-europejski, a później i egzotyczny. Zarówno ideowo ze strony starszego pokolenia, jak i — czynnie — ze strony ostatnich Zarządów Sekcji, z dr. K. Piotrowskim i dr. W. Goetlem na czele, zostało wcielone w życie wyprowadzenie taternictwa w teren pozatatrzański, i w tym względzie moment, w którym, w dniu 19 lipca 1931 r., I wyprawa alpejska STPTT wyjechała z Polski, wsparta o współczesną organizację propagandy w szerokiem społeczeństwie przez poczytną prasę i z ambicjami zapisania w nowoczesnym alpinizmie sportowym osobnej karty polskiej, stał się równie przełomowym, jak niegdyś szturmy na pierwsze urwiska tatrzańskie. Ale choć powodzenie programu pozatatrzańskiego było niewątpliwe, stało się ono jeszcze jednym powodem zlikwidowania Sekcji Turystycznej i przeniesienia siedziby Klubu do stolicy państwa.

Era Sekcji Turystycznej dobiegła końca. Miała ona swe szukanie drogi i swój wzrost powolny w latach 1903—1908, swój okres największej świetności i bezspornego prymatu w latach 1908—1911, i wreszcie okres zastoju, z którego wyrosła raz jeszcze, aby nadać taternictwu nowe formy i nowe kierunki ekspansji. Wyjątkowe stanowisko Sekcji Turystycznej w dziejach, już nietylko taternictwa polskiego, ale wogóle taternictwa i turystyki górskiej, nie da się dotychczas porównać z niczyjemi innemi zasługami. Zdobycze Sekcji Turystycznej dla polskiej turystyki wysokogórskiej są wszechstronne i niezmierne. Czyż musimy je przypominać? Zbudowali członkowie Sekcji gmach taternictwa polskiego, stworzyli dlań drogi wydawnictw i propagandy, rozszerzyli wiedzę o Tatrach i rozumienie idei ochrony przyrody, współdziałali udatnie w wielkiem dziele prac PTT. Wywiedli wreszcie taternictwo ku nieograniczonym szlakom dróg alpinistycznych. Od pierwszych pionierskich wejść na szczyty podówczas nieznanych Tatr, od wprowadzenia techniki wspinackiej i narciarstwa w Tatry — aż po owe granie i ściany Wideł, Mięguszowieckich i Gierlachów, i wreszcie urwisk dolomitowych i delfinackich — szła linja rozwojowa polskiego taternictwa, skupionego w STPTT. Nazwa Sekcji była anachronizmem, zmieniono ją, jak przekształcono całą strukturę organizacyjną Sekcji na statut Klubu Wysokogórskiego. Ale obecny Klub Wysokogórski PTT z siedzibą w Warszawie uważa się spewnością za kolejną kontynuację dawnej Sekcji Turystycznej z siedzibą w Zakopanem, Lwowie

czy Krakowie, i za jeszcze jedno ogniwo w nieustannym, przez pokolenia idącym, pochodzie wzwyż polskich ludzi gór. J. A. Szczepański

SEKCJA TATERNICKA AZS KRAKÓW

Kiedy w roku 1924 garstka młodzieży akademickiej postanowiła utworzyć Sekcję Taternicką, nie było to zdarzenie przypadkowe. Pozostawało ono w ścisłym związku z nowemi prądami w taternictwie, z przypływem świeżych sił i talentów. Mówiąc poprostu, był to najazd młodości na Tatry. Dzisiaj, pisząc o roli Sekcji Taternickiej AZS w Krakowie, trudno jest odgrodzić się od wspomnienia. Złożyło się tak, że niedawno temu, w papierach po ś. p. Romanie Kordysie przypadkiem odnalazł się pisany przeze mnie w roku 1929 dla «Taternika» artykuł na pięciolecie działalności Sekcji. Artykuł ten z przyczyn ode mnie niezależnych nie miał się wówczas ukazać.

Dzisiaj ponownie jest w mojem posiadaniu, właśnie w chwili, gdy mam pisać o Sekcji Taternickiej. I nie mogę powstrzymać się od przytoczenia z niego niektórych zdań, aby mówić naprawdę słowami z tamtego czasu, z którym łączą nas, starych AZS-owców, najmilsze wspomnienia i przeżycia.

«Ona (mowa jest o młodzieży akademickiej) wyłoniła pomysł organizacji o charakterze zamkniętego klubu, którаby zajęła się nietyle demokratyzacją gór, — jak możnaby określić przedwojenną turystykę — ile arystokratyzacją ludzi w ich obliczu».

Może zbyt dumnie brzmiało zdanie, że «o ile góry kochamy tak samo jak ci, którzy są związani z dawnemi laty, o tyle inaczej je zdobywamy», — ale okazało się prawdą rzetelną. Na czas bowiem działalności Sekcji przypada rozkwit taternictwa, wyrażający się w rozwiązaniu mnóstwa najpoważniejszych problemów i w przesuwaniu się skali trudności coraz wyżej. Na czoło wysuwa się znakomita działalność braci Sokołowskich i Rzepeckich, później Szczepańskich, błyska talent Szczuki, Dorawskiego, Birkenmajera, Korosadowicza, rodzeństwa Krókowskich, śp. Wallischa, śp. Honowskiej, Zaremby i innych, których nazwiska trwale związane są na kartach «Taternika» od roku 1924 do 1930 z pierwszorzędnemi i najlepszemi naówczas czynami wysokogórskiemi.

Sekcja, jedna z pierwszych, propaguje taternictwo zimowe, traktując je jako dalszy etap rozwoju wysokogórstwa w obliczu wyczerpywania się problemów tatrzańskich; za najodpowiedniejszy swój cel uważa kształcenie nowych kadr taternickich; całokształtem wreszcie swej działalności przyczynia się do ostatecznego ujarzmienia Tatr.

Sokołowszczyzna, termin dopiero wówczas naprawdę zrozumiały gdy ma się w pamięci jedyną w swoim rodzaju działalność Sokołowskich, nie była pustym frazesem. Obejmowała ona zespół ludzi związany ze sobą serdeczną więzią umiłowania gór, obejmowała zarazem światopogląd górski śmiały i oryginalny. Sekcja dała też początek Grupie Syfonów, którą z poprzednim kierunkiem łączyła miłość gór, a dzieliło wysuwanie na pierwszy plan wyłącznie sportowości.

Należały więc do Sekcji rozmaite indywidualności, od czystych sportowców aż po różne odcienie psychologizujących przeżywaczy górskiego marzenia. Wiązała ich zapalczywa pasja gór i temperament młodości, który wyładowywał się nieraz równie energicznie na skalnej drodze, jak w klubowym pokoiku «w sporze ideologicznym». W wyniku pozwoliły one Sekcji stworzyć osobny rozdział w dziejach zdobywania Tatr. Dokonując śmiałych wyjść na drogach coraz to trudniejszych, członkowie Sekcji siłą rzeczy, z bie-

giem czasu opanowali dawną Sekcję Turystyczną PTT, której przedwojennym, pionierskim zasługom przeciwstawili żywiołowy rozmach młodości.

Dla tych wszystkich, dla których dźwięk liter STAZS Kraków nie jest tem, czem był i jest dla nas nadal, sięgam ponownie do wspomnianego artykułu i z zestawienia cyfrowego działalności Sekcji przytaczam dane z pięciolecia od 1924 do 1928 r., na dowód, jak bujnie rozwijało się podówczas jej życie.

Zebrań i pogadanek na aktualne tematy górskie urządzono 127, odczytów publicznych 22, wypraw letnich w Tatry ogółem 305, w tem pierwszych wejść 74, wejść nadzwyczaj trudnych 35, wejść bardzo trudnych 44, wycieczek ćwiczebnych 16; wypraw zimowych w Tatry urządzono 50, w tem pierwszych wejść 33, wypraw narciarskich 80, wreszcie wycieczek członków Sekcji w Alpy 38. Bibljoteka (częściowo dary prof. Goetla, dra Komornickiego i inż. Chmielowskiego), licząca spoczątku 60 tomów, wzrosła do pokaźnej liczby 150 tomów, a na sprzęt wysokogórski, wypożyczany członkom, składały się czekany, liny, skafandry, narty i wreszcie namiot sekcyjny, ów «historyczny» namiot, który był wiernym i nieodłącznym towarzyszem wszystkich wypraw Sekcji, a zwłaszcza wypraw zimowych.

Po roku 1928 odbyło się jeszcze w ramach Sekcji dalszych kilkadziesiąt odczytów, herbatek dyskusyjnych, wycieczek ćwiczebnych i t. p., ale brak dopływu świeżych sił, podkreślony po raz pierwszy w 1930 r., wyznaczył nieuchronnie jej los jako młodej organizacji akademickiej. Praca Sekcji nie osłabła jednak, co więcej, bywała nieraz wzorem, np. przez stworzenie «funduszu alpejskiego», przeznaczonego na wspomaganie wypraw pozatatrzańskich, a używanego narazie jako funduszu bezprocentowych pożyczek, udzielanych na cele taternickie członkom Sekcji. Bez przesady można powiedzieć, że fundusz ten ma również swoją niemałą zasługę w zdobyczach i wynikach taternickich lat owoczesnych, i że na poczynionych z nim doświadczeniach oparła się wkrótce akcja wypraw pozatatrzańskich STPTT.

Dzisiaj Sekcji już niema. Formalnie przestała istnieć z chwilą utworzenia Klubu Wysokogórskiego, a naprawdę dokonała żywota gdzieś koło roku 1931, gdy prawie wszyscy jej członkowie powiększyli szeregi Sekcji Turystycznej PTT.

Dzisiaj więc, kiedy słowami temi żegnamy się z dawną Sekcją, co zostaje po niej? W historji Tatr dobre imię — dla tych, co przyszli po niej, martwe sprawozdawcze cyfry — a dla nas?

Coś więcej, niż wspomnienie śmiałych osiągnięć, niezapomnianych biwaków pod górskiem niebem, coś więcej, niż pamięć przyjaciół naszych, którzy w górach śmierć znaleźli, coś więcej, niż najgłębsza miłość gór, — poprostu żywy, serdeczny kawał życia. Władysław Krygowski

Sekcję Taternicką Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie zawiązało ku końcowi 1923 r. grono młodych, a właściwie początkujących taterników, nie mających absolutnie żadnego kontaktu ani z poprzednikami w taternictwie, ani z grupującą ich prawie nieczynną zresztą wówczas, Sekcją Turystyczną PTT. Pierwszy pomysł założenia osobnej organizacji rzucił Jan Dürr w lecie 1922 r. w czasie dłuższej wycieczki tatrzańskiej odbytej wraz z Markiem Korowiczem, braćmi Szczepańskimi i R. Wasserbergerem. Pomysł przez czas dłuższy nie wychodzi jednak poza to pierwsze stadjum i dopiero w rok później Dürr i Korowicz, przy okazji spotkania się w górach z d-rem Henrykiem Szatkowskim, ówcześnie działaczem krakowskiego AZS, krystalizują myśl założenia organizacji przy Azetesie. Ustalono zasadniczy sposób postępowania, poczem w jesieni tegoż 1923 r. układają Korowicz i dr Szatkowski regulamin przyszłej STAZS i przedkładają projekt prezesowi AZS prof. Waleremu Goetlowi który przeprowadza na Zarządzie AZS zgodę na utworzenie Sekcji. Konstytuujące Ogólne Zebranie Członków wyznaczono na początek

1924 r., przyczem Zarząd Sekcji mieli objąć Korowicz, Dürr, J. A. Szczepański i dr Szatkowski.

W tym czasie dowiadują się o całej akcji bracia Sokołowscy i oświadczają gotowość przyłączenia się do niej, tembardziej, że i sami, zrażeni bezczynnością STPTT, mieli zamiar tworzyć nową organizację przy PTT. Jako taternicy znacznie bardziej zaawansowani od dotychczasowych organizatorów, stają też na czele całej akcji, tak, że gdy w dniu 22 stycznia 1924 r. odbyło się konstytuujące zebranie członków Sekcji, został dr Marjan Sokołowski wybrany jej przewodniczącym, a do Zarządu wszedł przedewszystkiem Adam Sokołowski. Niebawem został też sekretarzem Sekcji Stefan Daszyński, a po nim na lat parę dr Jerzy Krókowski.

Od początku swego istnienia zaznaczyła Sekcja swe zdecydowanie sportowe oblicze, którego wyrazem stało się pierwsze w dziejach taternictwa polskiego statutowe określenie sportowych wymagań stawianych kandydatom na członków. W pierwszym statucie (1924) zażądano od członków zwyczajnych «dostatecznie wysokiej sprawności taternickiej» według wykazu wycieczek, «świadczących o ogólnej znajomości Tatr». Wykaz ten miał zawierać «przynajmniej trzy dość trudne wyprawy letnie (nie wspinaczki) wedle skali Gyuli Komarnickiego, lub trzy wyprawy skalne zimowe, które kandydat odbył w charakterze prowadzącego». Później (1928) «w uwzględnieniu znacznych postępów poczynionych przez młode pokolenie taternickie», obostrzono jeszcze te warunki przyjęcia do Sekcji, żądając od członków zwyczajnych samodzielnego dokonania conajmniej pięciu wypraw, z czego dwóch trudnych (w skali Chmielowskiego-Świerza).

Nic dziwnego, że wyrosła na takiej podbudowie programowej działalność wysokogórska członków Sekcji osiągała stopniowo coraz wyższy poziom, aż wreszcie przekroczyła uzyskane poprzednio rekordy taternickie. Nie podajemy bliższych szczegółów tej działalności, gdyż jest znana powszechnie. O ile chodzi o zdobycze letnie wyraziła się ona od powtórzeń wszystkich w owym czasie istniejących dróg najtrudniejszych aż po rozwiązanie takich problemów, jak wejścia na Rumanowy Szczyt z Kaczej Doliny, jak pn. ścian Grani Hrubego i Jaworowej, jak wreszcie wsch. ściany Gierlachu, zach. ściany Łomnicy, pd. ściany Kiezmarskiego Szczytu i w. i. O ile zaś chodzi o taternictwo zimowe, kolejne postępy taterników «spod znaku STAZS» wyrażają się w przebyciu zimą Świnickiej Grani, Mięguszowieckiego od pn., Małego Kiezmarskiego Szczytu od pn. i Młynarza wprost od Białej Wody. Wychowankiem STAZS jest wreszcie Zbigniew Korosadowicz który zarówno w letniem jak i zimowem taternictwie miał niebawem rekord taternicki dźwignąć do nieznanych dotychczas wyżyn.

Na członków Sekcji zapisywali się od początku taternicy z całej Polski, i pod tym względem, mimo swej krakowskiej przynależności, nie miała STAZS nigdy lokalnego charakteru. Wystarczy przypomnieć że wśród jej zasłużonych członków znalazły się najlepsze taterniczki z Warszawy i Zakopanego a dalej warszawiacy Szczuka, Kupczyk i Karpiński, lwowianin Krystek, ljończyk Golcz, globetrotterzy Daszyński i Jarosz i w. i. Ogółem liczyła Sekcja 58 członków zwyczajnych i 8 adeptów.

Już w pierwszych latach swego istnienia nawiązała Sekcja nadzwyczaj żywe stosunki z Oddziałem Krakowskim PTT, który odstąpił wreszcie z całą życzliwością lokal u siebie na zebrania Sekcji i jej bibljotekę. To też członkowie Sekcji z niewygasłą wdzięcznością wspominają poparcie, którego Sekcja — choć przecież poza organizacją PTT stojąca! — doznawała od prezesów Oddziału Krakowskiego inż. J. W. Czerwińskiego i dr J. Nowickiego, jak i od całych ówczesnych Zarządów Oddziału. Co do stosunków Sekcji z macierzystą centralą AZS — ułożyły się one od początku pomyślnie i pozytywnie, zdobywając dla Sekcji pełne uznanie i zrozumienie jej celów w centrali. Była to zasługa i wyniki pracy prezesa AZS, prof. W. Goetla zarazem członka Sekcji i wiernego jej protektora.

Przez kilka lat pełnił dr Marjan Sokołowski obowiązki przewodniczącego Sekcji, ale ustąpił w dniu 22 czerwca 1928 r. spowodu wyjazdu na stałe z Krakowa. Zasługi jego dla STAZS, jej należytej pracy i rozwoju, były niezmierne. Następcą jego jako przewodniczącego Sekcji był od dnia 2 lipca 1928 r. aż do faktycznego końca istnienia Sekcji dr Jan K. Dorawski, chlubnie kontynuujący prace swego poprzednika. W Zarządach współpracowało z przewodniczącym wielu taterników, w latach wcześniejszych Z. Roszkówna dr A. Gadomski, dr J. Krókowski, inż. K. Mischke i A. Sokołowski. później również K. Sinkówna Z. Korosadowicz, J. Kielpiński, W. Krygowski, B. Małachowski, W. Paryski J. A. Szczepański i dr K. Wallisch.

Już od czerwca 1929 r. nawiązali członkowie Sekcji daleko idącą współpracę z Sekcją Turystyczną PTT. W ciągu 1930 r. współpraca ta przekształciła się w najściślejsze współdziałanie. To też gdy w dniu 20 lutego 1932 r. ustąpił z przewodnictwa Sekcji dr Dorawski, ósme doroczne Ogólne Zebranie Członków uchwaliło jako pierwsze z organizacyj taternickich, akces Sekcji do przyszłego Klubu Wysokogór-

skiego i wybrało ostatni, likwidacyjny już, Zarząd Sekcji, z dr Adamem Sokołowskim na czele. Nieco wcześniej, w dniach 6 i 7 lutego 1932 r., przeprowadzili B. Małachowski i J. A. Szczepański, jako wspólni mandatarjusze STPTT i STAZS, po obradach z przedstawicielami KWOW w Warszawie uzgodnienie stanowisk i podpisanie przez Zarządy wszystkich trzech organizacyj pierwszej podstawowej deklaracji, wyrażającej pełną gotowość unifikacji. Odtąd STAZS uznała swą rolę za skończoną.

Spośród członków Sekcji zmarli śmiercią górską: Mieczysław Szczuka, Jadwiga Honowska, Zofja Krokowska, Marzena Skotnicówna, Kazimierz Kupczyk i Wincenty Birkenmajer. Pamięć ich uczcił «Taternik» osobnemi wspomnieniami — pamięć ich żyje w naszych sercach.

KOŁO WYSOKOGÓRSKIE PRZY ODDZIALE WARSZAWSKIM P. T. T.

POWSTANIE — DZIAŁALNOŚĆ — ZNACZENIE DLA POLSKIEGO RUCHU WYSOKOGÓRSKIEGO

Za pomoc przy opracowaniu i dostarczeniu materjałów do niniejszego artykułu autor składa serdeczne podziękowanie kolegom Z. Dąbrowskiemu, H. W. Mogilnickiemu i J. Wojsznisowi.

Ażeby móc przedstawić całokształt okoliczności, towarzyszących powstaniu Koła Wysokogórskiego przy Oddziale Warszawskim PTT., musimy cofnąć się myślą o kilka lat wstecz od daty oficjalnego jej utworzenia.

Powojenne taternictwo warszawskie charakteryzowała pewnego rodzaju dwutorowość, wyrażająca się w istnieniu obok siebie dwu kategoryj ludzi. uprawiających taternictwo, jakże jednak różniących się pomiędzy sobą podejściem do gór!

Jedna kategorja — to zwarta grupa ludzi, skupionych później i prym wiodących w założonej w dniu 30 listopada 1927 r. Sekcji Taternickiej AZS w Warszawie, propagująca taternictwo wyłącznie sportowe, z wyraźnem nastawieniem na rekord. Nie podchodzili ci ludzie do taternictwa od strony umiłowania gór, lecz traktowali je wyłącznie jako wyczyn sportowy, podobnie, jak każdy inny wynik, osiągnięty w jakimkolwiek sporcie boiskowym. Dlatego też wielu z nich później porzuciło taternictwo, utraciwszy luźny związek z Tatrami, lub nie znajdując w rekordzie taternickim takiego, czysto boiskowego zadowolenia, jakie dają wyczyny szeregu innych — łatwiejszych nieraz do uprawiania — sportów. U innych znów, którzy dzięki sportowemu chodzeniu po górach poznali je dobrze, z biegiem czasu wzbudziło się umiłowanie gór, i ci właśnie — poznawszy, że nietylko sam rekord sportowy łączy ich z Tatrami — pozostali nadal taternikami. Charakterystyczną cechą ówczesnego sposobu chodzenia tej grupy, nastawionej na rekord, były wyprawy, mające na celu robienie «otoczenia doliny» lub zwiedzanie szczytów «na krzyż».

Drugą kategorję tworzyli taternicy, chodzący po Tatrach — w odróżnieniu od poprzednich — raczej luzem, często z przygodnymi towarzyszami. Tatry dla tych ludzi stanowiły życiową pasję; pozostali oni przez cały czas w Tatrach taternikami, a nie sportowcami, dlatego też byli przedstawicielami poglądu, że przyszłość organizacyj taternickich leży przy PTT., a nie przy AZS. Dążąc do urzeczywistnienia swych myśli, taternicy owi na czele z Mieczysławem Szczuką (który, chociaż był później organizatorem Sekcji Taternickiej AZS. w Warszawie, nigdy nie miał tego rodzaju podejścia do gór, jakie cechowało grupę skupioną przy tej organizacji) rozpoczęli z końcem roku 1925 organizować Sekcję Taternicką przy Oddziale Warszawskim

CZŁONKOWIE KOŁA WYSOKOGÓRSKIEGO O. W. P. T. T.
zmarli śmiercią górską

KAZIMIERZ KUPCZYK
† 1. VIII. 1930
Południowa ściana
Ostrego Szczytu





MIECZYSŁAW SZCZUKA
† 13. VIII. 1927
Południowa ściana
Zamarłej Turni



ZBIGNIEW GIEYSZTOR
† 15. IV. 1930
Dolina Żabich Stawów
Białczańskich



WIESŁAW
STANISŁAWSKI
† 4. VIII. 1933
Zachodnia ściana Kościółka

PTT. Wypadki majowe w r. 1926 rozbiły akcję organizatorów, tak, iż owa krótkotrwała Sekcja nigdy nie odegrała poważniejszej roli w taternictwie. W rok później powstaje zorganizowana na wzór Krakowa Sekcja Taternicka AZS. w Warszawie, która na pewien czas złączyła większość taterników warszawskich.

Taternicy, skupieni przy AZS w Warszawie, stanowili pewnego rodzaju zamknięty klan, chodzili w zwartem gronie, trudno dopuszczając do swych wypraw mało znanych im ludzi — w przeciwieństwie zaś do nich taternicy w rodzaju Szczuki, dzięki temu, że chodzili niejednokrotnie z przygodnymi towarzyszami, oddawali wielkie usługi propagandzie taternictwa i przyciągali «narybek».

W roku 1926 pojawiła się na gruncie taternickim nowa grupka ludzi, którą od grupy «sportowców» dzielił właśnie brak czysto sportowego podejścia do gór — upodobnił jednak charakter zwartego zespołu. Ci «najmłodsi» (w odróżnieniu od «starych», reprezentowanych przez Świerza i «młodych», skupionych w Sekcji Taternickiej AZS. i w «Grupie Syfonów») weszli do taternictwa zupełnie samodzielnie. Nie wprowadzeni przez nikogo, odbywają wspinaczki tylko we własnem gronie — i sami sobie wyłącznie zdobywając stopniowo doświadczenie, osiągają coraz większą sprawność. Niezależnie od działalności górskiej w Tatrach, pracują też «najmłodsi» nad swem wyrobieniem ogólno-taternickiem i w Warszawie. Wielu z nich należy do Sekcji Taternickiej AZS, jednak, nie znalazłszy w niej tych wartości wychowawczych, jakich się po niej spodziewali, organizują w prywatnych mieszkaniach kolejne zebrania z referatami i dyskusjami na tematy taternickie. W zebraniach tych brali najczęściej udział: Wiesław Stanisławski (którego śmiało możemy nazwać przywódcą «najmłodszych»), Bolesław Chwaściński, Justyn Wojsznis, Tadeusz i Stefan Bernadzikiewicze, Antoni Kenar, Henryk Mogilnicki, Antoni Zalewski i inni. Często też zjawia się znany przyjaciel taterników pos. Bolesław Srocki. Zebrania te wykazały ponownie konieczność stworzenia nowej organizacji taternickiej, opartej już nie o AZS, lecz o PTT — możemy je też nazwać zaczątkiem organizacyjnym Koła Wysokogórskiego. Stanisławski, Chwaściński i Wojsznis rozpoczynają pertraktować z prezesem Odddziału Warszawskiego PTT, Stanisławem Osieckim, o możliwości utworzenia Koła Wysokogórskiego przy Oddziale Warszawskim PTT.

Po sukcesach letnich sezonów 1928 i 1929 rozpoczynają «najmłodsi» uprawiać również taternictwo zimowe. Niestety, rozpiętość pomiędzy pasją taternicką a doświadczeniem spowodowała przecenienie swych młodych sił. W kwietniu 1930 r. następuje znany wypadek w Dolinie Żabich Stawów Białczańskich. Warunki zmuszają do biwakowania nieprzygotowanych na nocleg w terenie czterech taterników. Nazajutrz ginie z wyczerpania młody, rokujący świetne nadzieje wspinacz Zbigniew Gieysztor. Próba zwołania przez warszawski AZS komisji sportowej, która miała osądzić pozostałych uczestników tragicznej wyprawy, stała się przysłowiowym gwoździem do trumny Sekcji Taternickiej AZS w Warszawie. Trudno bowiem było pomyśleć o możliwości wydania na towarzyszy i serdecznych przyjaciół zmarłego wyroku tego rodzaju, jaki ludzie, nie mający może nic wspólnego z Tatrami i taternictwem, wydają na zawodników sportowych za przewinienie na boiskach. Że przytem brak zrozumienia istoty i celów taternictwa u naczelnych władz AZS był zupełny, wszyscy tem łatwiej ujrzeli konieczność utworzenia organizacji, opartej o PTT, przy którem mogłoby kiedyś nastąpić ściślejsze zjednoczenie się całego taternictwa. To też pertraktacje z Zarządem Oddziału Warszawskiego PTT posunęły się raźno naprzód i już w maju 1930 r. zostaje zwołane zebranie organizacyjne Koła Wysokogórskiego. Komisja organiza-

cyjna pod przewodnictwem W. Stanisławskiego ustala formy organizacyjne i regulamin Koła, i od września 1930 r. rozpoczyna się w nim normalna praca.

Sekcja Taternicka AZS w Warszawie zamiera. Jednostki, uprawiające żywszą działalność w Tatrach, przechodzą do Koła Wysokogórskiego, a w Sekcji pozostają tylko ludzie, których — poza chwilową sportową manją — bardzo niewiele z Tatrami łączyło. To też wkrótce Sekcja Taternicka AZS Warszawa zostaje oficjalnie zlikwidowana.

* * *

Taternicy, zgrupowani w Kole Wysokogórskiem przy Oddziale Warszewskim PTT, nie poprzestają na wyładowywaniu swej pasji do gór tylko przez taternictwo, uprawiane w sezonie letnim czy zimowym. Tatry absorbują ich myśli przez cały rok i zmuszają do szukania ujścia swych zapędów taternickich także i w ożywionej pracy w Warszawie. Już w pierwszym roku istnienia Koła zorganizowany zostaje, na wysokim poziomie stojący, kurs teoretyczny taternictwa zimowego. Liczne zebrania klubowe z fachowemi referatami podnoszą wiedzę taternicką i kształcą młodych członków Koła.

Widząc wzrastające zainteresowanie zdobyczami ostatnich lat w Tatrach, kilku znanych taterników rozpoczyna prace redakcyjne nad wydawnictwem «Nowe Drogi w Tatrach Wysokich», które uzupełniłoby przestarzały już nieco przewodnik Chmielowskiego i Świerza. Równocześnie H. Mogilnicki i S. Bernadzikiewicz projektują opracowanie (w porozumieniu z Januszem Chmielowskim) drugiego wydania przewodnika «Tatry Wysokie», odpowiednio rozszerzonego i uzupełnionego, co jednak z przyczyn od projektodawców niezależnych nie dochodzi do skutku. Ukazują się dwa zeszyty «Nowych Dróg», dalsze materjały, częściowo opracowane do druku, przekazane zostają utworzonej w jesieni 1935 r. redakcji «Przewodnika Monograficznego po Tatrach».

Szereg członków Koła (Karpiński, Mogilnicki, Narkiewicz, Wyszyński, Zalewski) wybiega swą działalnością górską poza Tatry, zwiedzając Alpy, lub lodowce Islandji. Uświadomiwszy sobie znaczenie tego rodzaju wypraw dla rozwoju młodego pokolenia taternickiego, propagują usilnie — jeszcze na długo przed wyprawami alpejskiemi STPTT — wyjście poza Tatry, w Alpy, jako konieczne przygotowanie do wielkich wypraw odkrywczych.

Dwukrotny prezes Koła, dr Konstanty Narkiewicz-Jodko, któremu nie obce były ani lodowce Islandji, ani gorące skały Afryki, rzuca śmiałą myśl wysłania pierwszej polskiej wyprawy egzotycznej w Andy. Szereg trudności piętrzy się przed śmiałą inicjatywą, godzą w nią ataki nieraz niespodziewane, jednak dzięki długiej i żmudnej pracy członków Koła — zarówno uczestników wyprawy, jak i pozostających w kraju — wyprawa dochodzi do skutku. Energja i żywotność środowiska warszawskiego doprowadziła do tego, że Koło Wysokogórskie mogło tą wielką wyprawą — bez żadnych poprzedzających mniejszych wypraw — otworzyć wrota dla ekspansji całego alpinizmu polskiego i wysunąć go odrazu na szeroki egzotyk.

W tym samym prawie czasie wyrusza pod wodzą inż. Stefana Bernadzikiewicza (również dwukrotnego prezesa Koła) druga, zorganizowana przez Koło Wysokogórskie wyprawa. Jest to wyprawa o innych od andyjskich celach i założeniach — ekspedycja polarna do Ziemi Torella na Spitsbergenie (por. sprawozdania i opisy w bież. zeszycie «Taternika»).

Krótką, lecz jakże chlubną tradycję wypraw egzotycznych Koła Wysokogórskiego przy Oddziale Warszawskim PTT, podtrzymuje wreszcie w ostat-

nim roku jego istnienia wyprawa kaukazka, kierowana przez prof. dra Marjana Sokołowskiego.

Żywo zajmujący się sprawami ruchu taternickiego członkowie Koła brali udział nietylko w pracach warszawskiej organizacji. Dochodzący stopniowo do głosu «najmłodsi» interesowali się zawsze życiem Sekcji Turystycznej PTT i od roku 1932 przedstawiciel ich zasiadał w zarządzie tej najstarszej organizacji taternickiej, we wrześniu 1934 r. natomiast już trzech członków Koła zostaje wybranych do Zarządu Sekcji. Koło Wysokogórskie stało zawsze na stanowisku, że zjednoczenie wszystkich polskich organizacyj taternickich w jeden Klub Wysokogórski będzie niewątpliwą korzyścią dla polskiego alpinizmu, niestety jednak różne uboczne względy opóźniały wprowadzenie w czyn tej idei. To też gdy z początkiem roku 1935 problem unifikacji wkroczył na realne tory, środowisko warszawskie opracowało projekt statutu Klubu Wysokogórskiego i przez swych przedstawicieli złożyło go Sekcji Turystycznej PTT.

Rok 1935 — to rok powstania Klubu Wysokogórskiego. Zarząd Klubu przechodzi do Warszawy, obsadzony prawie w całości przez członków ruchliwego środowiska warszawskiego; Koło Wysokogórskie przy Oddziale Warszawskim PTT postanawia połączyć się z Klubem, i korzystając z uprawnień, przyznanych w Statucie Klubu, przekształca się w Koło Warszawskie Klubu Wysokogórskiego PTT.

Dzień 30 stycznia 1936 roku — to formalnie data przystąpienia Koła Wysokogórskiego do Klubu, faktycznie jednak warszawski ośrodek taternicki, zgrupowany w Kole Wysokogórskiem, opanował już o wiele wcześniej cały polski ruch wysokogórski.

* * *

Koło Wysokogórskie przy Oddziale Warszawskim PTT istniało zaledwie pięć lat, znaczenie jednak jego działalności w dziejach polskiego ruchu wysokogórskiego jest ogromne. Po pionierskiej działalności «starych» z Sekcji Turystycznej PTT w okresie przedwojennym, następuje zastój i upadek taternictwa. Odrodzili je «młodzi» z Sekcji Taternickiej AZS w Krakowie — dźwignęli na nieosiągalne poprzednio wyżyny «najmłodsi» z Koła Wysokogórskiego w Warszawie. Ten pięcioletni okres, wraz z dwoma jeszcze latami, poprzedzającemi oficjalne powstanie Koła Wysokogórskiego, to nietylko chlubna karta z pamiętnika działalności górskiej «najmłodszych» — to cała epoka w dziejach taternictwa.

Lata 1928—1932: padają najwspanialsze problemy tatrzańskie. Młodzi taternicy warszawscy, poznawszy góry, wyzwalają ostatecznie taternictwo z ucisku psychicznego, z jakim dawniej podchodzono do ścian. Nabierają nowoczesnego, sportowego (ale nie boiskowego!) podejścia do gór. Padają ściany, które dawniej uznawano za niemożliwe do pokonania — ściany, które niejednokrotnie odpierały ataki najlepszych. Zachodnia ściana Kościelca, północna Żabiego Konia, drogi na wschodniej ścianie Rumanowego, środek urwisk północnej ściany Małego Kiezmarskiego — to słupy kilometrowe, stawiane przez «najmłodszych» na drodze rozwoju taternictwa.

Podobnie jak w lecie, tak i w zimie działalność członków Koła posuwa znacznie naprzód postęp polskiego taternictwa. Styczniowe wejście na Zadni Gierlach z Doliny Kaczej i grudniowe przejście Lodowej Przełęczy Wyżniej w r. 1930 są śmiałemi sukcesami, które posunęły naprzód ruch taternicki w zimie i przyczyniły się tem do uzyskania tak świetnych wyników, jakie możemy obserwować obecnie.

Nadchodzi rok 1933. Znów Koło Wysokogórskie przy Oddziale War-

szawskim PTT otwiera nową kartę historji alpinizmu polskiego. Zaczyna się nowa epoka: wyrusza pierwsza polska wyprawa egzotyczna, podnosi o zgórą 1000 metrów polski rekord wysokościowy; padają niezdobyte szczyty Andów, znikają białe plamy na mapach, Polska odrazu śmiałym krokiem staje w szeregu państw, idących na podbój egzotyku. I podobnie jak przykład najwspanialszych wypraw tatrzańskich obudził i podniósł ruch wysokogórski w Tatrach, tak wyprawa andyjska zapoczątkowała szereg polskich ekspedycyj egzotycznych. Szybko następuje zorganizowana przez Koło Wysokogórskie pierwsza polska wyprawa polarna na Spitsbergen, równocześnie Sekcja Turystyczna wysyła wyprawę w Atlas, a zaledwie w rok potem znów Koło Wysokogórskie organizuje (wraz z Sekcją Turystyczną) wyprawę kaukazką. I tu bodajże leży największe znaczenie działalności Koła Wysokogórskiego: przez swą ruchliwość i żywotność, przez swą śmiałą działalność wypchnęło Koło zamknięte w ciasnych ramach polski ruch wysokogórski na szerokie tory światowego alpinizmu egzotycznego.

Koło Wysokogórskie przy Oddziale Warszawskim PTT przestało oficjalnie istnieć. Ale «najmłodsi», którzy tworzyli jego trzon, zostali i stanowiąc dzisiaj najżywotniejszy zespół Klubu Wysokogórskiego, pracują i pracować będą nadal nad zapoczątkowanym przez nich świetnym okresem w historji polskiego ruchu wysokogórskiego.

MACIEJ ZAJĄCZKOWSKI

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI ZA ROK 1935

Zarząd, wybrany na Walnem Zgromadzeniu członków Koła w dniu 14 lutego 1935 r., ukonstytuował się następująco: Prezes: Justyn T. Wojsznis; Wiceprezes: inż. Jakób Bujak; Sekretarz: inż. Maciej Zajączkowski; Skarbnik: Józef Orenburg; Gospodarz: J. Wawrzyniec Żuławski.

Zarząd, rozpocząwszy swą pracę w czasie, kiedy problem unifikacji polskich organizacyj taternickich wkroczył na realne tory, jako hasło naczelne postawił doprowadzenie do zjednoczenia Koła Wysokogórskiego i Sekcji Turystycznej PTT w jeden Klub Wysokogórski. Specjalnie wyłoniona komisja opracowała projekt statutu Klubu, który następnie wraz z odpowiedniemi zasadami wytycznemi zjednoczenia polskiego ruchu wysokogórskiego delegaci Koła złożyli Zarządowi Sekcji Turystycznej PTT. We wrześniu 1935 r. na Walnem Zgromadzeniu Sekcji Turystycznej zmieniono oficjalnie nazwę Sekcji na Klub Wysokogórski i uchwalono Statut Klubu, oparty na projektach złożonych przez Koło Wysokogórskie i kol. J. A. Szczepańskiego. Szereg spraw formalnych przeciągnął jednak termin zjednoczenia Koła z Sekcją o kilka miesięcy, tak, że dopiero Walne Zgromadzenie członków Koła Wysokogórskiego w dniu 30 stycznia 1936 r. uchwaliło przekształcenie się Koła Wysokogórskiego przy Oddziale Warszawskim PTT na Koło Warszawskie Klubu Wysokogórskiego, przez co unifikacja stała się faktem dokonanym.

Z inicjatywy Koła zorganizowana została w roku sprawozdawczym wyprawa wysokogórska w Centralny Kaukaz, której przebieg i wyniki szczegółowo omówione zostały już w zeszycie 3-cim obecnego rocznika «Taternika». W wyprawie wzięło udział 10 osób, w tem 7 członków Koła. Działalności górskiej członków Koła w Tatrach także tu omawiać nie będziemy, ze względu na wielokrotne cytowanie jej wyników w «Taterniku».

Wobec likwidacji Koła Wysokogórskiego, w związku z jego przekształceniem w Koło Warszawskie Klubu Wysokogórskiego, wydano w ostatnim miesiącu istnienia Koła «Znak Pamiątkowy» (wykonany według projektu kol J. Hryniewieckiego), który ma stanowić symbol jedności ideowej organizacyjnej i towarzyskiej, jaka łączyła członków naszego Koła. Znak ten otrzymali wszyscy członkowie Koła oraz kilka osób szczególnie zasłużonych dla Koła, m. in. prezes Klubu Wysokogórskiego prof. Marjan Sokołowski i prezes Oddziału Warszawskiego PTT Stanisław Osiecki. Pozatem «Znakiem Pamiątkowym» ozdobiono wiszące w lokalu Koła cztery portrety zmarłych członków Koła Wysokogórskiego.

Staraniem Zarządu Koła Wysokogórskiego urządzono w dniu 8 grudnia 1935 r. pierwszy pokaz publiczny filmu z polskiej wyprawy w Andy, poprzedzony słowem wstępnem, wygłoszonem przez gen. M. Zaruskiego. Zebrań klubowych odbyło się w ciągu okresu sprawozdawczego 6. Treścią tych zebrań były następujące referaty:

1) J. Bujak: «Kaukaz» (21. III. 1935).
2) S. Bernadzikiewicz: «Unifikacja organizacyj taternickich» (14. V. 1935).
3) Odczyt zbiorowy: «Wielkanoc w Tatrach na wesoło» (6. VI. 1935).
4) Z. Dąbrowski: «Uwagi o sezonie letnim w Tatrach» (17. X. 1935).
5) S. Bernadzikiewicz: «Doświadczenia wyprawy kaukazkiej» (10. XII. 1935).
6) Dyskusja na temat przyszłych wypraw egzotycznych (19. XII. 1935).

Na specjalną wzmiankę zasługuje życie towarzyskie w Kole. Ustalone stałe dyżury członków Zarządu cieszyły się bardzo liczną frekwencją wszystkich członków Koła i szybko przekształciły się w rodzaj tygodniowych zebrań towarzyskich. Dzisiaj zebrania te przeszły już do tradycji i odbywają się nadal, ciesząc się dużem powodzeniem.

Stosunki Koła z Oddziałem Warszawskim PTT układały się jak zwykle bardzo pomyślnie. Dzięki nadzwyczaj przychylnemu ustosunkowaniu się Prezesa Osieckiego Koło mogło korzystać i nadal z zupełną swobodą z lokalu Oddziału, a biuro Oddziału okazywało Zarządowi Koła wielką pomoc w jego pracach. Wyrazem wdzięczności, jaką Koło żywi dla prezesa Osieckiego, było uchwalone na Walnem Zgromadzeniu w dniu 30 stycznia 1936 r. serdeczne podziękowanie «za troskliwą i przyjacielską opiekę nad całokształtem zgórą pięcioletniej działalności Koła».

Uchwałą Walnego Zgromadzenia z dnia 30 stycznia, decydującą o zjednoczeniu się z Sekcją Turystyczną w jeden Klub Wysokogórski, Koło Wysokogórskie przy Oddziale Warszawskim PTT. zostało zlikwidowane. Dla załatwienia szeregu spraw związanych z przekazaniem agend Koła Wysokogórskiego Kołu Warszawskiemu Klubu Wysokogórskiego oraz ich likwidacją, pracowała Komisja Likwidacyjna Koła Wysokogórskiego przy O. W. P. T. T., wybrana w składzie: Józef Orenburg, Justyn Wojsznis i inż. Maciej Zajączkowski.

INTERMEZZO SENTYMENTALNE[1]

Nie będę tu mówił ani o programie i ideologji, ani o nazwiskach i datach, ani o faktach i czynach, które w ciągu pięcioletniego istnienia Koła Wysokogórskiego przy Oddziale Warszawskim PTT nadały mu takie a nie inne znaczenie — i taką, a nie inną kazały mu w historji najnowszego taternictwa odegrać rolę. Tych kilka słów poświęcić chcę jedynie na podkreślenie tego, co w życiu wewnętrznem Koła decydującą odegrało rolę, co było życia tego momentem najbardziej charakterystycznym, i co dla pewnej, życiu Koła niejako ton nadającej grupy stało się elementem niezmiernie cennym, może często twórczym, a już napewno i zawsze — najmilszym...

Mówię tu — domyślacie się — o tej naprawdę niezwykłej spójni wewnętrznej, łączącej nas, mimo takich, czy innych odchyleń — w sprawach nietylko z górami i taternictwem związanych, ale wykraczających częstokroć daleko poza rejony najistotniejszego przeznaczenia organizacji wysokogórskiej. Staliśmy się zbiorowiskiem ludzi, którzy poza zasadniczo ich łączącem umiłowaniem gór wysokich i tego, co z ich zdobywaniem związane, wnieśli do Koła całą gamę charakterów, uzdolnień, przekonań i temperamentów, nadewszystko jednak wnieśli — m ł o d o ś ć. Staliśmy się doskonale znającą się i zwartą rodziną — bliższą niektórym z nas, milszą i bardziej zrozumiałą i rozumiejącą nas, od tamtej rodziny, której prawa wyrażają się tylko węzłami krwi...

Atmosfera, jaką wytworzyło Koło Wysokogórskie, posiadała zawsze to, czego nam tak bardzo zazdrościli inni: moc żywiołowości, szczerości, serdeczności i tej, dziś jeszcze nie dającej się «na zimno» tłumaczyć siły, która —

---

1) Jest to większa część przemówienia, jakie piszący te słowa wygłosił w dniu 30 stycznia 1936 r. na likwidacyjnem Walnem Zebraniu członków Koła Wysokogórskiego przy OWPTT — po uchwaleniu przez Zebranie to przystąpienia Koła do Klubu Wysokogórskiego PTT. Z oryginalnego tekstu przemówienia usunięta została jego część frywolna, oraz małej przeróbce uległo parę innych ustępów, a to gwoli uczynienia tekstu zrozumiałym dla szerszego grona czytelników.

ponad wszelką sympatję i przyjaźń — w górach i poza górami — zbliżała nas wzajem, łączyła i czyniła bliskimi sobie. W atmosferze tej rodziło się i dojrzewało niejedno pragnienie, realizował się niejeden czyn, wykwitła też niejedna przyjaźń... Atmosfera ta podnosiła radość triumfów, łagodziła przykrości i osłabiała dysonanse, które nie mogły przecież na dłuższą metę zagłuszać podstawowego akordu, jakim grało życie naszego Koła. Kiedyś — w przyszłości — o wiele, wiele więcej będzie można powiedzieć o tem, co przecież dzisiaj tętni jeszcze aktualnością.

Trudno jest czasem nie ulegać sugestji zewnętrznej formalistyki: Koło Wysokogórskie przestało formalnie istnieć i dlatego chyba powiedziałem wiele rzeczy w czasie przeszłym... Pocóż jednak wspomnieniem przesłaniać rzeczywistość? To wszystko przecież nie minęło bezpowrotnie — to wszystko trwa nadal i dla nas trwać będzie tak długo, jak nasza m ł o d o ś ć!

Koleżanki i Koledzy z «ulicy Żórawiej»! Dzisiaj jesteśmy młodzi, a dominujący ton życia dawnego Koła Wysokogórskiego patronuje innej «firmie», którą przecież my tworzymy. Ale «pojutrze» — gdy młodość nasza przeminie, i gdy następcy nasi zajmą nasze miejsca w taternictwie — napewno nieraz z wdzięcznością i sentymentem wspomnimy, że w gronie, które gwarem wypełniało warszawskie tradycyjne wieczory wtorkowe — upływały n a p r a w d ę p i ę k n e l a t a n a s z e j m ł o d o ś c i!

ZDZISŁAW DĄBROWSKI

† TADEUSZ SMOLUCHOWSKI

Dla pierwszych pokoleń powojennych taterników imię Tadeusza Smoluchowskiego było taksamo nieznane, jak nazwiska Chodźki, Rogozińskiego czy innych pionierów polskiego alpinizmu. Gdy taki np. Chodźko wejściem na Ararat i triangulacją Kaukazu zasługiwał sobie na honorowe członkostwo CAF, w Polsce jeszcze w 1924 r. nikt o nim nic nie wiedział (por. «Taternik», XI, 16). A przecież była to osobistość, która, choć w obcej służbie, polskości swej się nie zaparła, i przez którą alpinizm polski na Kaukazie zyskał rzecz. jedną z najcenniejszych — tradycję.

Tadeusz Smoluchowski (ur. w 1868 r.) należał wraz z bratem Marjanem do tej, nielicznej zresztą, grupy polskich ludzi gór, których działalność rozwijała się poza Tatrami i podkreślała stałe ambicje i związki polskie z międzynarodowym alpinizmem. To też nic dziwnego, że zapomniano o jego zdobyczach w czasie, gdy związki te zerwały się i gdy wyłącznie do Tatr ograniczała się polska działalność wysokogórska. Ale odrodzony alpinizm polski zaraz przypomniał sobie zasługi Smoluchowskiego. «Taternik», XV, 137—139, po raz pierwszy w Polsce podał dokładny wykaz zdobyczy alpejskich Smoluchowskich, tenże zeszyt (XV, 111) przyniósł również pierwszą próbę scharakteryzowania roli i znaczenia Smoluchowskich w ramach dziejów alpinizmu polskiego.

Działalność ściśle wysokogórska obu Smoluchowskich trwała stosunkowo krótko — właściwie tylko przez pięciolecie 1890—1894 — ale zapisała się trwale w dziejach alpinizmu, a dla polskiego alpinizmu jest jego jedynym w wielkim stylu wkładem w Alpach Wschodnich. 24 nowe drogi wyszukali Smoluchowscy w Alpach, z czego 16 było pierwszych wejść na szczyty i turnie, w tem na takie jak Sas dal lec, Lauriswand i Zehner. I. trawersowanie Fünffingerspitze, szturm na południowe zerwy Grohmannscharte, i t. p. — oto dalsze, znakomite na swój czas wyniki Smoluchowskich. Do tego dodajmy wybitną działalność publicystyczną w czasopismach i wydawnictwach alpinistycznych (bliższe szczegóły: «Taternik», *l. c.*) — a stwier-

dzimy, że w osobach Smoluchowskich mieliśmy dwóch alpinistów, którzy w swoich latach stali w rzędzie najlepszych.

Po 1894 r. obaj Smoluchowscy oddają się już tylko dorywczo czynnemu alpinizmowi. Tadeusz bywa uczestnikiem wypraw alpejskich rozmaitych taterników (np. Romana Kordysa; Monte Rosa i i. w 1912 r.), zwiedza też w szeregu długich wycieczek Wschodnie Beskidy, gdzie jest jednym z nader czynnych propagatorów narciarstwa turystycznego, przyczem jego samotne zdobycie zimowe Bliźnicy, w kwietniu 1901 r. zyskało tu sobie znaczenie niemal przełomowe (por. «Taternik», III, 55). Wyprawy te ma ułatwione, od 1895 r. bowiem pracuje — dr. chem. z zawodu — w Małopolsce Wschodniej.

Marjan Smoluchowski jeszcze przed wojną był prezesem Sekcji Turystycznej TT. Tadeusz Smoluchowski odkąd, po wojnie, przeniósł się na stałe do Poznania, poświęcił swe najlepsze siły pracy dla PTT. W 1921 r. założył tu Oddział Poznański PTT., którego aż do swej śmierci był prezesem, czujnym na wszystkie potrzeby PTT. i alpinizmu polskiego (znane są np. jego życzliwość i poparcie, jakich udzielił wyprawie w Atlas). Przez szereg lat był też członkiem Zarządu Głównego PTT. Do ostatnich lat życia nie utracił kontaktu z górami: «Taternik» XIII 46 i XX 32 miał sposobność zanotować jego ostatnie wejścia, które wzbudziły uwagę. Zmarł w dniu 10 maja 1936 r. w sanatorjum w Kościanie.

Po śmierci Marjana Smoluchowskiego (1917) zarówno «Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego» jak i «Taternik» ogłosiły o nim obszerne wspomnienia, zeszyt «Taternika» wydany w 1921 r. cały został poświęcony «pamięci Marjana Smoluchowskiego». W roku bieżącym zarówno PTT jak i Klub Wysokogórski zamierzało Tadeusza Smoluchowskiego zamianować członkiem honorowym. Los nie pozwolił już na to skromne uczczenie zasług. Alpinizm polski zawsze będzie jednak czcił w Zmarłym jednego z najlepszych swoich pionierów.

J. A. Szcz.

POLSKA WYPRAWA POLARNA NA SPITSBERGEN 1934

CEL I ORGANIZACJA, PRACE I WYNIKI

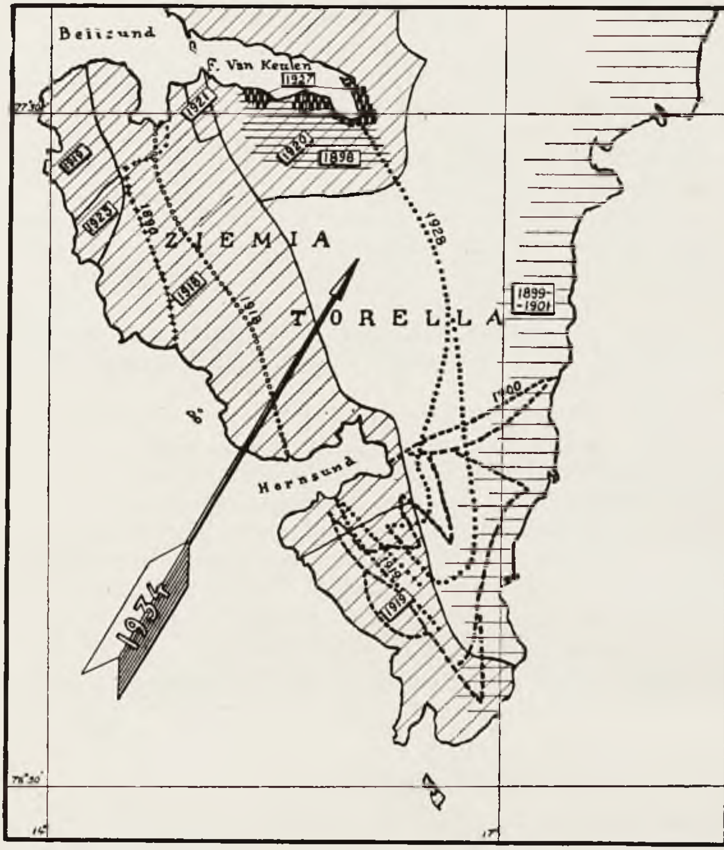
«Znamienne to zjawisko, że inicjatywa tej wyprawy, wyłącznie naukowej — odkrywczej i badawczej — powstała nie wśród uczonych, lecz wśród alpinistów...
Musiał... być jakiś bodziec szczególny, dość silny, by natchnąć zapałem i wytrwałością do takiej wyprawy. Bodźcem tym był kult nauki — nauki wogóle, w jej całości, we wszystkich jej objawach i działach — połączony ze zrozumieniem naukowej wartości takich wypraw».

Antoni B. Dobrowolski, «Wiedza i Życie», 1935, z. I.

Celem wyprawy, która działała latem 1934 r., było naukowe zbadanie wnętrza t. zw. Ziemi Torella, położonej w południowej części Zachodniej Wyspy archipelagu Spitsbergen, pomiędzy zatoką Bellsund i jej odgałęzieniem Fiordem Van Keulen na północy, a zatoką Hornsund na południu. Jest to jedna z najmniej zbadanych części Spitsbergenu, jakkolwiek odwiedzana już przez szereg ekspedycyj, pracujących jednak przeważnie w pasie przybrzeżnym.

Lodowce Ziemi Torella przekracza poraz pierwszy G. Nordenskjöld z towarzyszami, w roku 1890, trzymając się jednak w niewielkiej odległości od zachodniego wybrzeża. W latach 1899—1901 wzdłuż zachodniego brzegu tej ziemi prowadzą triangulację Rosjanie, w związku z pracami szwedzko-rosyjskiej wyprawy dla

pomiaru południka[1]). Współcześnie (1898) działająca wyprawa szwedzka przeprowadza prace topograficzne wzdłuż południowego wybrzeża Fiordu Van Keulen, stosując po raz pierwszy na Spitsbergenie metodę fotogrametryczną[2]), oraz dokonywa wywiadu geologicznego w kilku punktach tego wybrzeża.



ZIEMIA TORELLA
Drogi wypraw i tereny zbadane przed 1934 r.

Dopiero jednak systematyczna praca wypraw norweskich w latach 1917—1923, a zwłaszcza dwóch z nich: w r. 1918 (Hoel i Rövig) i w r. 1920 (Hoel), daje w wyniku poprawne opracowanie topograficzne północnej i zachodniej części Ziemi Torella. Wyprawy te prowadzą równocześnie wywiad geologiczny i po raz pierwszy w tych stronach zbierają okazy botaniczne[3]).

---

1) A. S. Wassiliew, Mission scientifique pour la mésure d'un arc de Meridien au Spitsberg.

2) A. Hamberg, Astronomische, photogrammetrische und erdmagnetische Arbeiten der von A. G. Nathorst geleiteten schwedischen Polarexpedition 1898. Stockholm. Vet. Akad. Handl. Bd. 39, Nr. 6.

3) A. Hoel, The Norvegian Svalbard Expedition, Resultater av de Norske Statsunderstöttede Spitsbergenekspeditjoner, B. I, Nr. 1. Oslo 1929.

A. Hoel, Rapport préliminaire de l'expédition norvégienne au Spitsberg. La Géographie, Paris, T. 32, 1918, pp. 231—235.

A. Hoel, Rapports sur les récentes expéditions norvégiennes au Spitsberg)1919—1921). Rev. de Géogr., Paris, T. 9, 1916—21, pp. 48.



Fot. H. W. Mogilnicki (Leica)

RAUDFJELLET OD PÓŁNOCNEGO-WSCHODU

Badania glacjologiczne prof. K. Gripp'a (1927 r.)[1]), prowadzone na lodowcach, spływających do Fiordu Van Keulen, zamykają dotychczasową działalność naukową.

Należy jeszcze wymienić sportową wyprawę trzech narciarzy Norwegów, którzy — z saniami — przechodzą (1928 r.) po raz pierwszy przez wnętrze Ziemi Torella pomiędzy Fiordem Van Keulen i Hornsundem[2]).

Tereny zbadane do roku 1934 oraz sieć dróg poprzez lodowce okalają wieńcem sam środek Ziemi Torella — białą plamę na mapach Spitsbergenu. Zadaniem wyprawy polskiej, omówionem szczegółowiej w dalszej części sprawozdania — przy analizie wyników — było wypełnienie części tej białej plamy.

Wyprawa została zainicjowana przez Koło Wysokogórskie przy Oddziale Warszawskim Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i zorganizowana przez Komitet Organizacyjny w składzie: prof. Antoni B. Dobrowolski — przewodniczący, dr. inż. Jan Lugeon — zastępca przewodniczącego, Stanisław Siedlecki — sekretarz, inż. Stefan Bernadzikiewicz — skarbnik, oraz Helena Dębińska-Śliwińska, mjr. Mieczysław Lepecki, prof. dr. Jan Lewiński, Jadwiga Mrozowska-Toeplitz, mjr. Lucjan Miładowski, prezes Stanisław Osiecki, dr. Stefan Zb. Różycki, gen. Marjusz Zaruski, płk. dypl. Tadeusz Zieleniewski — członkowie Komitetu.

Udział w organizacji wyprawy brały: Zakład Geologji i Paleontologji Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego, Wojskowy Instytut Geograficzny i Polskie Towarzystwo Tatrzańskie.

Wyprawa spotkała się z pełnem zrozumieniem i poparciem czynników państwowych z Panem Prezydentem Rzeczypospolitej na czele, instytucyj naukowych i społeczeństwa. Potrzebne fundusze zostały zebrane na czas i w całości. Wszystkie firmy, zaopatrujące wyprawę, udzieliły wysokiego rabatu, bądź ofiarowały swe wyroby bezpłatnie. Poniżej podajemy zestawienie wpływów i wydatków wyprawy:

WPŁYWY

Subwencje:	
Bank Polski	12.000 zł[3])
Fundusz Kultury Narodowej przy Prez. Rady Ministrów	5.000 »
Polskie Towarzystwo Tatrzańskie:	
a) Zarząd Główny	3.000 »
b) Oddział Warszawski	1.000 »
Ministerstwo W. R. i O. P.	1.500 »
Państwowy Bank Rolny	500 »
Powszechny Zakł. Ubezp. Wzajemnych	500 »
Józef Toeplitz	500 »
Na pokrycie kosztów udziału dwóch pp. oficerów z Wojskowego Instytutu Geograficznego	
Inspektorat Sił Zbrojnych	6.000 »
Uczestnicy wyprawy z wpływów za korespondencje prasowe	1.900 »
Razem	31.900 zł

[1]) K. Gripp, Glaciologische und geologische Ergebnisse der Hamburgischen Spitsbergen-Expedition 1927. Abhandl. d. Naturwiss. Ver. z. Hamburg, Bd XXII, 2—4 H., Hamburg 1929.

[2]) O. J. Broch, E. Fjeld og A. Höygaard, Paa ski over den sydöstlige del av Spitsbergen, Norges Svalbard og Ishavs Undersökelser Medelelse Nr. 4, Oslo.

[3]) Na powyższą kwotę uzyskano pożyczkę w Banku Gospodarstwa Krajowego, pokrytą następnie przez Bank Polski.

WYDATKI

Podróż (bilety kolejowe i okrętowe, przesyłka bagażów, wynajęcie statku, utrzymanie i drobne wydatki w podróży)	13.885	zł
Żywność, paliwo (w terenie)	3.193	»
Wyekwipowanie[1])	7.730	»
Film (materjał i prace do wykonania musterkopji włącznie)	4.544	»
Fotografje	515	»
Literatura, mapy	285	»
Administracja (korespondencja, buchalterja i t. d.)	711	»
Oprocentowanie pożyczki w B. G. K.	680	»
Saldo przekazane Oddz. Warsz. Polskiego Tow. Tatrzańskiego	407	»
Razem . .	31.900	zł

Długie i nader staranne prace przygotowawcze prowadzono w ścisłem porozumieniu z Norweskim Instytutem dla Badań Svalbardu[2]) i Mórz Polarnych (Norges Svalbard og Ishavs Undersökelser), którego zadaniem jest między innemi koordynacja prac naukowych, prowadzonych na Spitsbergenie. Korzystano z wielu cennych wskazówek dyrektora Instytutu doc. Adolfa Hoel'a, znakomitego badacza Spitsbergenu.

Skład wyprawy obejmował 7 osób: inż. Stefan Bernadzikiewicz, prezes Koła Wysokogórskiego O. W. P. T. T. — kierownik wyprawy; inż. Witold Biernawski — film, opieka techniczna nad radjostacjami, komunikaty PAT'a; Henryk W. Mogilnicki — fotografja, obsługa radjostacyj, wyekwipowanie podróżnicze i alpinistyczne wyprawy; dr. Stefan Zb. Różycki — prace geologiczne i glacjologiczne; Stanisław Siedlecki — obserwacje meteorologiczne, aprowizacja; mjr. Sylwerjusz Zagrajski — triangulacja; kpt. (obecnie mjr.) Antoni Zawadzki — fotogrametrja.

Wyprawa trwała od dnia 30 maja (wyjazd z Warszawy S. Siedleckiego i kpt. A. Zawadzkiego do Tromsö w celu wynajęcia statku i zakończenia przygotowań w Norwegji) do dnia 16 września 1934 (powrót z Oslo do Warszawy inż. S. Bernadzikiewicza, dr. S. Z. Różyckiego i kpt. A. Zawadzkiego po uzgodnieniu w Instytucie Norweskim wyników i omówieniu ich opracowania).

Po otrzymaniu ze Spitsbergenu komunikatu o sprzyjającym stanie lodów w okolicy południowej części tej wyspy wyruszono z Tromsö (dnia 16 czerwca) na pokładzie kutra motorowego «Husvika», wynajętego dla przewiezienia wyprawy do Fiordu Van Keulen. Wjeżdżając wgłąb tego fiordu (w dniu 20 czerwca) zastano w połowie jego długości grubą tallę lodu zimowego, który uniemożliwił dalsze posuwanie się statku do stóp lodowca Pencka, jak to pierwotnie zamierzano. Wylądowano więc bardziej na zachód (wyładowując bagaże wagi 3.000 kg) i tu, wśród wałów moreny czołowej lodowca Finsterwaldera, założono obóz główny — t. zw. bazę. W obozie tym zainstalowano samopiszące aparaty meteorologiczne, ciemnię fotograficzną i dwie radjostacje: a) krótkofalową i b) długofalową, pracującą na fali 600 m, przy pomocy której utrzymywano stały kontakt z radjostacją norweską

[1]) W powyższej pozycji nie są zawarte wydatki na wyekwipowanie osobiste, które uczestnicy wyprawy zakupili z własnych funduszów.

[2]) Svalbard (w jęz. staronormandzkim: «zimny brzeg») — nazwa prowincji północnej, obejmującej Spitsbergen i Wyspę Niedźwiedzią.



.... DROGA PRZEJAZDU WYPRAWY POLSKIEJ Z NORWEGJI NA SPITSBERGEN. ------ DROGA POWROTNA. CZARNĄ PLAMĄ OZNACZONO OBSZAR ZBADANY PO RAZ PIERWSZY PRZEZ WYPRAWĘ POLSKĄ.

w Longyearbyen (Isfjorden-Spitsbergen). Obóz ten był podstawą do wszystkich działań we wnętrzu lądu, zawierał skład żywności, paliwa i materjałów fotograficznych, był miejscem odpoczynku pomiędzy poszczególnemi etapami wyprawy.

Czas pracy w terenie można podzielić na cztery okresy:

W okresie I — od 20 czerwca do 6 lipca — po założeniu obozu głównego prowadzono prace geologiczne na wybrzeżu (S. Z. Różycki) w okolicy Ingebrichtsenbukta, oraz dokonano pierwszego wywiadu w kierunku terenu prac wyprawy. W sześciodniowej wycieczce (25—30. VI.) S. Bernadzikiewicz, S. Siedlecki, S. Zagrajski i A. Zawadzki wyszukali najlepszą drogę dla transportu na saniach przez skartowany w roku 1920 pas wybrzeża szerokości ok. 20 km, przechodząc w tym celu lodowce Finsterwaldera i Pencka i założyli — już w niezbadanym dotąd terenie — obóz wypadowy, jako podstawę do dalszych prac. Równocześnie przeprowadzili wywiad topograficzny terenu w celu ustalenia metody pracy, wykonali pierwsze trzy stanowiska fotogrametryczne i oznaczyli trzy wierzchołki górskie (czerwonemi chorągwiami), jako punkty sieci triangulacyjnej. Po pierwszym tym wywiadzie można było przystąpić do planowej pracy we wnętrzu lądu, przytem jako najlepszą drogę dla transportu na saniach wybrano lodowiec Pencka.

W okresie II — od 7 lipca do 22 lipca — wszyscy uczestnicy wyprawy pracują w głębi lądu trzech grupach:

Grupa I (S. Bernadzikiewicz i S. Siedlecki) przeprowadza wywiad całego terenu wyprawy, mając za zadanie wyszukanie najlepszych przejść przełęczowych i oznaczenie w terenie, na szczytach nunataków, punktów triangulacyjnych. W tym celu przechodzi ona poprzez całą Ziemię Torella, pomiędzy Fiordem Van Keulen i Hornsundem, posuwając się lodowcem Pencka i dalej poprzez lodowiec bez nazwy, lodowiec Polaków i płaskowyż Mendelejewa. Jest to jeden z najdłuższych przemarszów z saniami, odbytych w czasie wyprawy, wynoszący ok. 130 km w terenie lodowcowym.

Grupa II (S. Zagrajski i H. W. Mogilnicki) prowadzi pomiary triangulacyjne na górze Heimfjella, punkcie sieci triangulacji norweskiej z r. 1920 i na 4-ch punktach triangulacji własnej. W tym okresie czasu dużą trudność stanowiło stabilizowanie punktów triangulacji na wierzchołkach górskich, tonących jeszcze w grubej warstwie śniegu. Musiano więc oznaczać te punkty tymczasowo czerwonemi cho-

rągwiami na tykach bambusowych, które następnie — po częściowem stopnieniu śniegów — zastępowano ułożonemi z kamieni słupami.

Grupa III (A. Zawadzki, W. Biernawski i S. Z. Różycki) wykonywa zdjęcia fotogrametryczne i badania geologiczne w otoczeniu górnego cyrku lodowca Pencka i płaskowyżu Amundsena. W tym okresie wykonano 7 stanowisk fotogrametrycznych. Dużą trudność stanowiła mała liczebność tej grupy, mającej do wykonania dwa zadania, zmuszające nieraz do podziału jej na jeszcze mniejsze jednostki. Aparatura pomiarowa wagi ok. 100 kg. musiała być nieraz przenoszona tylko przez dwóch ludzi, co — rzecz jasna — wobec koniecznego pośpiechu dla wykorzystania bardzo krótkotrwałych przejaśnień, wymagało znacznego wysiłku fizycznego.

Po powrocie do bazy dla uzupełnienia materjałów fotograficznych i żywności, powrócono do prac w głębi lądu — znowu w trzech grupach, w III okresie od 23 lipca do 11 sierpnia.

Grupa I, triangulacyjna (S. Zagrajski, S. Bernadzikiewicz i początkowo S. Siedlecki) przeprowadza obserwacje w 10-u punktach sieci polskiej i na Bazylice, punkcie triangulacji norweskiej z 1920 r.

Grupa II, fotogrametryczna (A. Zawadzki, W. Biernawski i S. Siedlecki) wykonywa dalszych 12 stanowisk stereofotogrametrycznych na lodowcu bez nazwy, Lodowcu Polaków i Płaskowyżu Amundsena.

Wreszcie grupa III, geologiczna (S. Z. Różycki i H. W. Mogilnicki) prowadzi swoje badania w terenie objętym pracą grup topograficznych.

W okresie IV — od 13 sierpnia do 23 sierpnia — w głębi lądu pracuje jeszcze tylko grupa III, geologiczna. Pozostali uczestnicy działają na wybrzeżu Fiordu Van Keulen: wykonują 2 stanowiska fotogrametryczne dla celów ściśle geologicznych, zbierają małą kolekcję ornitologiczną na wyspie Axela i poświęcają wiele uwagi pracy nad filmem.

Nakoniec — po zlikwidowaniu obozu głównego — w dniach 24—27 sierpnia wsiada wyprawa na pokład statku turystycznego «Lyngen», który zboczył specjalnie do Fiordu Van Keulen ze swej zwykłej trasy do pn.-zach. wybrzeży Spitsbergenu. Statkiem tym odbyto przewidzianą jego rozkładem jazdy wycieczkę wzdłuż zachodnich wybrzeży Spitsbergenu, wykorzystując krótkie postoje w różnych punktach lądu dla zebrania okazów botanicznych i geologicznych.

Wąski cypel południowej części Zachodniej Wyspy Spitsbergen znany jest z fatalnych warunków atmosferycznych. Jest to jedna z przyczyn, dla których te strony są stosunkowo tak mało zbadane. Warunki, na jakie natrafiła wyprawa, można więc uważać za dosyć szczęśliwe, gdyż przez ok. 20% czasu pobytu panowała pogoda, pozwalająca na prace pomiarowe. Mgły gęste i uporczywe, panujące wszechwładnie przez pozostałych 80% czasu były największą przeszkodą w pracy. Te też krótkie okresy przejaśnień należało wykorzystywać w całości. Pracowano wówczas, przenoszono się w pośpiechu ze stanowiska na stanowisko — bez przerwy, odpoczynku i snu — osiągając swego rodzaju rekord w 38-godzinnej pracy grupy kpt. A. Zawadzkiego. W czasie mgieł przenoszono obozy w miarę postępu pracy, wędrując nieraz zupełnie poomacku.

Do transportu na lodowcach używano sań długości 12 stóp, ciągniętych przez uczestników wyprawy, przytem tam, gdzie to było możliwe, posuwano się na nartach. Waga ładunku sań dla grup dwu- i trzyosobowych wahała się od 100 do 250 kg. Ciągnięcie sań przez wielkie rozlewiska w czasie silnego topnienia śniegu, w czerwcu i początku lipca, a następnie po pozbawionych śniegu, wcale nie równych językach lodowców, było dość uciążliwą, prawdziwie «psią» pracą. Linja śniegu na lodowcach utrzymywała się wkońcu lata na wysokości ok. 500 m nad poziomem morza. Po osiągnięciu pewnej wprawy pokrywano nieraz w ciągu jednego dnia odcinki drogi po dwadzieścia kilometrów i więcej. Do przejazdu wzdłuż Fiordu Van Keulen używano małej łodzi motorowej, która jednak została



Fot. S. Z. Różycki

NA LODOWCU PENCKA W SIERPNIU



Fot. S. Z. Różycki

PASMO PAGODY WIDZIANE Z GÓRY RICHTHOFENA
(W głębi szczyt Berzeliusa, na pierwszym planie środkowe ramię lodowca Pencka)



Od Redakcji: Niniejszy szkic topograficzny — odstąpiony nam uprzejmie przez Red. «Wierchów» — stanowi orjentacyjne uzupełnienie właściwej mapy fotogrametrycznej Ziemi Torella, dołączonej do niniejszego zeszytu. Za życzliwe i bezinteresowne użyczenie «Taternikowi» odpowiedniej ilości tych map składamy gorące podziękowanie szefowi Wojskowego Instytutu Geograficznego w Warszawie p. pułk. dypl. Tadeuszowi Zieleniewskiemu oraz redaktorowi «Wiadomości Służby Geograficznej» p. ppułk. Jerzemu Lewakowskiemu.

zniszczona przez silny sztorm. Wówczas korzystano z motorówki uczynnych Norwegów ze statku «Thor», polującego w tych stronach. Bardzo różnorodne wyekwipowanie wyprawy zakupione w całości (z wyjątkiem sań polarnych) w kraju, zdało doskonale swój egzamin.

Skolei omówimy wyniki dwumiesięcznej pracy w terenie.

Prace topograficzne [1]) były wykonywane (przy pomocy wszystkich uczestników) przez mjr. S. B. Zagrajskiego i kpt. A. Zawadzkiego, przydzielonych do wyprawy i finansowanych przez Wojskowy Instytut Geograficzny. Zadaniem grup topograficznych było przeprowadzenie triangulacji i zdjęć fotogrametrycznych terenu powierzchni ok. 300 km² w niezbadanej dotąd części Ziemi Torella, przylegającej od północy do terenu skartowanego przez wyprawę norweską 1920 roku, a od zachodu do obszaru skartowanego przez Norwegów w r. 1918. Materjałem do przeprowadzenia triangulacji były współrzędne punktów obu sąsiednich terenów, dostarczone przez Norges Svalbard og Ishavs Undersökelser. Sieć triangulacji polskiej objęła projektowaną powierzchnię 300 km², przyczem dokonano obserwacyj na 15 stanowiskach i stabilizowano w terenie 14 punktów przy pomocy słupów (średnicy ok. 1 m i wysokości 1½ m), ułożonych z kamieni. W podobny sposób były stabilizowane punkty triangulacji norweskiej, które od lat 1918 i 1920 zachowały się bardzo dobrze. Sieć ta została związana z siecią norweską z lat 1918 i 1920 przez przeprowadzenie obserwacyj na dwóch punktach triangulacji norweskiej z r. 1920 (Heimfjella i Basilica) i przez wcięcie z punktów sieci polskiej szeregu punktów norweskich z r. 1918, położonych wzdłuż zachodniego brzegu opracowywanego terenu. Punkty triangulacji obierano na odsłoniętych ze śniegu wierzchołkach nunataków. Obserwacyj dokonywano małym teodolitem Wilda.

Zdjęciami stereofotogrametrycznemi objęto obszar 350 km², w tem około 260 km² terenu przedtem niezbadanego. Pozostałych 90 km² przypada na teren graniczący z opracowywanym, a skartowany przez Norwegów w r. 1918 przy zastosowaniu fotogrametrji pojedyńczej (stolikowej) i w r. 1920, częściowo metodą stereofotogrametrji naziemnej. Opracowanie pasa granicznego pozwoliło na uniknięcie nieporozumień przy dowiązywaniu się do poprzednich opracowań oraz na sprawdzenie ich dokładności. Do wykonania zdjęć użyty został zestaw przyrządów fotogrametrycznych naziemnych Zeiss C3b. Ogółem wykonano 22 stanowiska stereofotogrametryczne, które obierano na grzbietach górskich, ich zboczach lub lodowcach. Pozatem dla celów ściśle geologicznych wykonano 2 stanowiska stereofotogrametryczne i 47 stanowisk pojedyńczych ze 148 zdjęciami. Warunki naświetlenia, zależne od pory dnia (w tym okresie 24-godzinnego), były bardzo zmienne. To też czas naświetlenia, określany zapomocą komórki fotoelektrycznej, przy tych samych warunkach nastawienia: przesłonie 1:25, 3-krotnym filtrze i czułości klisz 14⁰ Scheinera wahał się w granicach 5-u do 80-u sekund. Dla sprawdzenia zdjęć część z nich została wywołana na miejscu w specjalnie skonstruowanej składanej ciemni, zainstalowanej w obozie głównym.

Na podstawie przeprowadzonych pomiarów i zdjęć została wykreślona na autografie w Wojskowym Instytucie Geograficznym w Warszawie mapa w skali 1:50.000. Mapa ta wprowadza w zbadanym przez wyprawę odcinku Ziemi Torella nazwy polskie, nadane na wniosek uczestników przez Komitet Organizacyjny i zatwierdzone przez Państwo Norweskie: Góry Piłsudskiego, Góra Staszica, Grań Stanisławskiego, Góra Kopernika, Góra Curie-Skłodowskiej, Szczyt Roku 1934, Lodowiec Polaków i Płaskowyż Amundsena.

Szybkie, prawdziwie rekordowe opracowanie i publikacja powyższej mapy

[1]) S. Zagrajski i A. Zawadzki, Prace geodezyjne polskiej wyprawy polarnej na Spitsbergen w 1934 r. Wiadomości Służby Geograficznej 1935, z. 1–2, str. 49—122.

jest poważnym sukcesem propagandowym, jeżeli zważymy, że wyniki pomiarów norweskich z lat 1918 i 1920 do dziś dnia nie są jeszcze ogłoszone drukiem, a pomiary z r. 1919 nawet jeszcze nie opracowane.

Postawienie prac kartograficznych na wysokim poziomie zawdzięcza wyprawa zrozumieniu i wielkiej życzliwości pp. Szefów Wojskowego Instytutu Geograficznego płk. dypl. Tadeusza Zieleniewskiego i ppłk. Jerzego Lewakowskiego.

Prace geologiczne były prowadzone przez dr. St. Zb. Różyckiego, asystenta Zakładu Geologji i Paleontologji Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego. Jak można było sądzić z badań sąsiednich terenów, część Ziemi Torella, w którą udawała się wyprawa, winna się była składać głównie z mesozoikum i trzeciorzędu. Zakład Geol. i Pal. U. J. P. od początku swego istnienia prowadzi badania właśnie nad mesozoikum, to też prace geologiczne leżały w linji jego specjalizacji naukowej. Prace te zostały posunięte od pd. brzegu Fiordu Van Keulen do 40 km wgłąb lądu, na terenie objętym zdjęciem topograficznem z roku 1920 (wyprawy norweskiej) i pracą topografów wyprawy. Obejmują one na tej przestrzeni strefę graniczną między formacją Hecla Hook i serją mesozoiczną. Obszar objęty badaniami (ok. 500 km²) został skartowany geologicznie w skali 1:100.000. Jest to teren, nieobjęty dotychczas żadnemi zdjęciami geologicznemi. Istniały o nim jedynie fragmentaryczne dane z paru punktów (Basilica, Heimfjella, Camp Violet i Ingebrichtsenbukta), leżących w bezpośredniem sąsiedztwie Fiordu Van Keulen. Zebrany materjał pozwala na skonstruowanie ośmiu równoległych profilów tektonicznych, które dają pojęcie o budowie geologicznej zbadanego terenu. Z prac stratygraficznych należy wymienić zebrany materjał do szczegółowych profilów przez serję górnego triasu (retyku) i jury. Równolegle z pracami geologicznemi prowadzone były obserwacje glacjologiczne. Zebrane materjały zostały przekazane Zakładowi Geol. i Pal. U. J. P., gdzie są opracowywane przez dr. Różyckiego.

Poza temi zasadniczemi pracami naukowemi zostały zebrane materjały botaniczne, jednak nie przez botanika, którego nie było w wyprawie, lecz przez uczestników, zajętych pracami geologicznemi i topograficznemi, a więc dorywczo w chwilach wolnych od tych prac. Materjały te można podzielić na 3 serje: zielnik, zbiory muzealne i próbki ziemi do badań nad mikroflorą gleby. Zielnik został oddany do opracowania specjalistom, tak więc rośliny wyższe (kwiatowe) opracowuje prof. dr. B. Hryniewiecki (Warszawa), mchy — dr. T. Wiśniewski (Warszawa), porosty zaś dr. J. Motyka (Lwów). Najciekawszą i najbardziej wartościową część zielnika stanowią okazy z wnętrza Ziemi Torella, które — po pierwsze — pozwalają uzupełnić wiadomości o rozmieszczeniu roślin na Spitsbergenie danemi, pochodzącemi z wnętrza lądu, rzadko spotykanemi u botaników, po drugie pochodząc ze strefy supraniwalnej, z nunataków, stanowią interesujące przyczynki do ekologji poszczególnych gatunków. Zbiory muzealne przekazano Zakładowi Systematyki i Geografji Roślin Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego. Składają się one z najtypowszych przedstawicieli fauny polarnej, zebranej w całych darniach.

Próbki ziemi przekazano prof. dr. S. Krzemienieckiemu (Lwów) do badań nad mikroflorą gleby, a specjalnie nad grupą *Myxobacteria*.

W programie wyprawy położono wielki nacisk na zebranie materjału, któryby posłużył do propagandy polskich naukowych wypraw polarnych, a więc na wykonanie zdjęć fotograficznych (H. W. Mogilnicki), których przywieziono ok. 2.000 oraz na nakręcenie filmu reportażowego z wyprawy (inż. W. Biernawski) długości negatywu ok. 3.000 m.

Dalsze opracowanie materjału filmowego powierzono konsorcjum «Panta-Film» w Warszawie, z którem Komitet Organizacyjny zawarł umowę w sprawie eksploatacji filmów z wyprawy. Do chwili obecnej został w powyższem konsorcjum zmotowany i udźwiękowiony film średniometrażowy (dł. 900 m) p. t. «Do Ziemi Torella» w opracowaniu inż. W. Biernawskiego i F. Goetla (opracowanie literackie).

W związku z pracami w terenie zwiedzono dwadzieścia pięć szczytów Ziemi Torella, przeważnie po raz pierwszy. Działalność sportowo-alpinistyczna wyprawy musiała być bardzo ograniczona, ze względu na koniecznośćześrodkowania wysiłku wszystkich uczestników wyprawy w kierunku przeprowadzenia zamierzonych prac naukowych. Tem niemniej doświadczenia zebrane w czasie zgórą dwumiesięcznego podróżowania i biwakowania w terenie lodowcowym, są niewątpliwie cenną zdobyczą dla alpinistów biorących udział w wyprawie. Czterysta (przeciętnie) kilometrów przebytych z saniami przez każdego z nich, to dobra zaprawa wytrzymałościowa.

W chwilach odpoczynku alpiniści dokonali ciekawych sportowo wejść: na Supanberget (1098 m), wejście pn. lodowcem, zejście wsch. granią i tymże lodowcem (H. W. Mogilnicki i S. Siedlecki, dnia 27 lipca — średnio-trudno) — na Raudfjellet (1014 m), wejście pn. lodowcem i zejście wsch. granią (H. W. Mogilnicki, dnia 14 sierpnia — bardzo trudno) — i na najwyższy szczyt Ziemi Torella, Berzelius (1205 m) od wsch. (S. Bernadzikiewicz, dnia 18 sierpnia — łatwo).

Kończąc niniejsze sprawozdanie składam serdeczne podziękowanie tym wszystkim instytucjom i osobom, które darzyły wyprawę zaufaniem i zrozumieniem, a swojem poparciem, współpracą lub pomocą finansową umożliwiły nam wypełnienie jej zadań.

Muszę również podkreślić zgodny wysiłek wszystkich uczestników wyprawy, połączony nieraz z rezygnacją z ich osobistych ambicyj i zamierzeń, ich lojalność wobec zarządzeń kierownika i sumienność w wykonywaniu przyjętych na siebie obowiązków.

STEFAN BERNADZIKIEWICZ
Kierownik wyprawy

KARTKI Z DZIENNIKA

. . . .

18 czerwca 1934 r. Mgła zacieśnia horyzont. Silny wiatr wzdął morze w góry ogromnych bałwanów, ustroił w pióropusze piany. «Husvika» wpływa śmiało w wąskie doliny, wznosi się na grzbiety i znów — kładąc się na bok — spada w nieoczekiwane głębie. Czasami nie zdąży w porę uchylić się przed nadbiegającą falą, przecina ją wpół swym zadartym wysoko dziobem. Pieniący się słup wody wali się na pokład, szamoce z beczkami z paliwem, uwiązanemi na mocnych linach, i jeszcze nie zdąży przelać się za burtę a już w nagłem przechyleniu statku pędzi z szumem na drugą stronę pokładu.

«Husvika» — mocny łowiecki statek — nie takim sztormom stawiał czoło mocą swych 94 koni mechanicznych i śmiałością siedmiu ludzi załogi. My jednak, szczury lądowe, ciężko przeżywamy nasz chrzest morski. Trzeszczenie desek, stukot silnika, firanki kołyszące się od okna do sufitu, brzęk szklanek, tańczących w drewnianych oprawkach — usposabiają śpiąco. Śpimy zwinięci w kłębek w ciasnych kojach.

Poczciwy *kok* dba o nas, jak o dzieci. Raz po raz przeciska się przez wąskie drzwi kajuty jego ogromna postać. Podziwiam, jak wrośnięty w deski pokładu — na szeroko rozstawionych nogach — manipuluje zręcznie zastawioną jedzeniem tacą, przechylając ją w takt gwałtownych wahań statku. Porozumiewamy się na migi. Na jego spokojnej twarzy maluje się troska; dowiaduję się, że «Wielki Inżynier» nic nie je, że Staszek zjadł jedno ciastko od Tromsö, a Major całkiem «kaput». Jedyne zrozumiałe dla nas obu słowo «kaput» dobitnie określa samopoczucie moich towarzyszów.

Wczoraj i ja składałem hojne dary Neptunowi, lecz dziś — o dziwo! — czuję się świetnie i ku wielkiej radości Andreasena, objadam się za nas

wszystkich siedmiu, pałaszując znakomitego smażonego łososia i kompot z suszonych owoców z żelatyną, obficie podlany mlekiem skondensowanem. Szkoda, że nie mogę porozumieć się z *kokiem* i *skiperem*. Co za wspaniałe typy! Jaki spokój na ich surowych twarzach i w jasnych, dziecinnych oczach.

Godzina 21-a. Raz po raz przeciągają klucze alek. Zabawne, małe, czarne ptaszki o białych podbrzuszach. Szybko trzepoczą małemi skrzydelkami, robiąc wrażenie jakichś mechanicznych zabawek, poruszanych ukrytą wewnętrzną sprężyną.. Ptaki świadczą zapewne o bliskości lądu. Wyspy Niedźwiedziej. Nie możemy jej znaleźć we mgłach.

Godzina 23-a. Na zachód od nas Wyspa Niedźwiedzia — ledwo widoczna brunatna smuga, gdzieniegdzie jaśniejsza plamą śniegu, czy też jeziorka. Po krótkiej naradzie z Albrechtsenem postanawiamy jechać dalej. Nie mamy czasu na przeczekiwanie mgły i sztormu, a w takich warunkach lądowanie na wyspie, otoczonej rafami, jest niemożliwe.

Wyspa Niedźwiedzia, siedziba Polskiej Stacji Geofizycznej Międzynarodowego Roku Polarnego 1932/33 pozostaje za nami. Teraz bystry, zimny prąd. spływający z morza Barentsa, zawiezie nas dalej na północ, do celu wyprawy — Spitsbergenu.

. . . .

. . . .

14 lipca...... Godzina 17-a. Gęsta mgła wrosła w zbocza otaczających nas gór. Daremnie czekamy, aż może jakiś silniejszy podmuch wiatru rozerwie tę szczelną zasłonę i ukaże nam wreszcie, gdzie jesteśmy. Biały, puszysty pierścień mgły — zaczarowany krąg — posuwa się razem z nami krok w krok, ukazując wciąż tylko małe kółko poduszki lodowca, w której drzemią przepastne szczerby — długie pęknięcia, zaczynające się we mgle i ginące we mgle.

Dziś, drugiego dnia marszu tym wielkim lodowcem, pociętym tysiącami szczelin, zobojętnieliśmy już zupełnie na ich widok. Przesuwamy się na nartach po zdradliwych mostach śnieżnych. Czasami tylko kijek zapadnie się w nieoczekiwaną pustkę i długo dźwięczą strącone sople lodu.



Fot. H. W. Mogilnicki (Leica).

Widok z Gór Piłsudskiego ku wschodowi.

Właśnie, siedząc ze Staszkiem na saniach, które (oczywiście) stoją wpoprzek szczeliny (na szczęście wąskiej), żujemy z wściekłością suszone śliwki. Gdzie jesteśmy? Nawprost przed nami, gdzieś w mgłach, olbrzymi Hornsundtind. Lecz w jakiej odległości? Jakby chcąc nas skusić do dalszej wędrówki, ukazał się nam godzinę temu nieoczekiwanie. Zawieszony gdzieś w zenicie czubek skalnej piramidy, jak dziób wielkiego ptaka, szybującego we mgłach.

Na zachód od nas zatoka Hornsund, cel naszego marszu. Lecz w którem miejscu jest brama w lodowo-skalnym murze, wzdłuż którego wciąż wędrujemy? Brama, przez którą spływa lodowiec Horna — jedyna droga do zatoki.

Musimy przeczekać mglę.

Rozbijamy obóz. W pięć minut, a może i mniej. Bez słowa — każdy z nas wie już, co ma robić. Sanie wywrócone do góry płozami, narty, wbite w śnieg, suszyć się będą całą noc w słońcu, przenikającem przez mgłę. Mały namiot — trzy metry kwadratowe nieprzemakalnej podłogi — to wielki luksus, aż za wiele, by zmieścić cztery wielkie wory z żywnością i sprzętem oraz dwóch ludzi, wyciągniętych wygodnie w puchowych śpiworach. Leżymy, wiodąc długie rozmowy, nie ruszając się, żeby nie przewrócić primusa, na którym cierpliwie topi się śnieg na wieczorny grysik z rodzynkami.

15 lipca. Nie wiem, który już raz budzę się z nerwowego snu. Jutro musimy wracać na północ, nie wiedząc nawet dokładnie, dokąd zaszliśmy we mgłach. Trzeba wyjrzeć z namiotu, może tym razem coś zobaczę. Za chwilę, wyrzucony jak z procy z ciepłego legowiska, podziwiam wspaniałą panoramę

Jest godzina pierwsza w «nocy». W różowem świetle słońca, pełzającego sennie po wierzchołkach gór, nawprost przede mną, na południu, masyw Hornsundtindu. Wspaniały szczyt króluje nad okolicą. Smukła skalna turnica, dźwignięta w niebo stromą, czarną ścianą, ustrojona wiszącemi lodowcami. Z jej potężnego torsu wyrasta szereg niskich grani, poszarpanych w dziwaczne zęby i maczugi, poprzedzielanych lodowczykami, których posiekane, zielonkawe obrywy spadają do lodowca Horna.

Nasz namiot w środku ogromnej lodowcowej równi. Z północy spływa do niej wielka rzeka lodowca Nr. 3, którym przyszliśmy wczoraj. Na wschodzie niewysokie pasmo gór oddziela nas od niewidocznego morza. Na zachodzie wąski przesmyk pomiędzy gniazdem Hornsundtindu i długim łańcuchem górskim; tamtędy przeciska się lodowiec Horna.

Trzeba sfotografować ten widok, bo może za chwilę znów przyjdą mgły. Budzę Staszka. Szykuję długą przemowę na wypadek jego protestu. To niepotrzebne. Za chwilę wygląda z namiotu jego rozkudłana głowa, za nią odwieczna, niegdyś zapewne czysta, kurteczka w kratkę i wreszcie wysokie filcowe «bambosze». Zamiast jednego zdjęcia robi trzy, a na dobitkę proponuje, żebyśmy zaraz ruszyli w dalszą drogę.

Zjeżdżamy łagodną pochyłością lodowca Horna. Coraz więcej szczelin i coraz szerszych. Musimy nieraz długo posuwać się wzdłuż otwartej szczeliny, by wreszcie przekroczyć ją po bardzo niepewnym moście śnieżnym. Związujemy się liną. Jeszcze kilkanaście zygzaków i pozostawiamy sanie. Idziemy zbadać przejście, asekurując się starannie zza czekanów w tym silnie podminowanym terenie. Po godzinie marszu, po wielu długich zakosach, po przekroczeniu dziesiątków szczelin — obejrzawszy się — mamy sanie tuż poza sobą, o kilkadziesiąt kroków.

Jesteśmy na wybrzuszeniu lodowca. W dole — dwa kilometry zaledwie od nas — Hornsund. Na ciemno-niebieskiem tle wody liczne góry lodowe, oberwane z czoła lodowca. Lecz dalsza droga zamknięta labiryntem szczelin, tak posiekanych, zmieszanych w taki chaos, iż wyszukanie przejścia zajęłoby wiele czasu. Przeciągnięcie sań — zgoła niemożliwe.

Szybki rachunek: siedem dni marszu za nami, mamy żywności jeszcze na tydzień, więc trzeba wracać. A zresztą cel naszego marszu osiągnięty: przekroczyliśmy całą Ziemię Torella wzdłuż jej osi, zbadaliśmy trzy wielkie lodowce i przejścia przez kilka przełęczy. Wyprawa w swych pracach szczegółowych nie dotrze tak daleko, dalszy wywiad byłby więc bezcelowy. Teraz. w drodze powrotnej, musimy wejść jeszcze na kilka szczytów dla przygotowania punktów do triangulacji.

A jednak z żalem wracamy...

Tak blisko byliśmy Hornsundu. Tak blisko nietkniętego dotąd stopą ludzką wierzchołka Hornsundtindu...

Godz. 10-a. Zwijamy obóz. Mgła znowu zakryła horyzont. Musimy wracać wczorajszym śladem. Dziś jest on już bardzo niewyraźny, choć wczoraj szliśmy w głębokim śniegu. Idziemy w gęstej mgle, a jednak oślepiający blask bije ze wszystkich stron. Ślad coraz mniej wyraźny; idąc przodem, muszę co chwila zdejmować okulary, by dojrzeć gdzieniegdzie wgłębienie po kijku lub wąską smugę ciemniejszego trochę śniegu. Oczy zaczynają mnie palić.

Godz. 16-ta. Z mgły wyłania się czarna plama. To ślad naszego obozu sprzed dwóch dni. Jesteśmy więc znów u stóp Małej Turniczki. I znów — jak wczoraj — szybkie rozbijanie namiotu we mgle. Tylko dziś dla odmiany makaron z szynką.

Zaczyna siąpić drobny deszczyk — wąziutka nitka śladu, wiążąca nas z odległym o czterdzieści kilometrów obozem głównym, będzie jutro jeszcze mniej wyraźna. Oczy palą mnie coraz bardziej, smaruję je maścią kseroformową. A jednak może jutro będzie słońce.

16 lipca. Mgła... . . . .

. . . .

9 sierpnia. Już trzeci dzień obozujemy, we dwóch z Majorem, uwięzieni we mgłach pod górą Richthofena. Przymusowa przerwa w naszych pracach pomiarowych — wtenczas, kiedy zdawało się nam, że już je kończymy. Dla zamknięcia sieci triangulacyjnej musimy zrobić obserwacje jeszcze na dwóch punktach, na górach Richthofena i Bazylice. W przeciwnym razie stracimy kilka trójkątów, zmarnujemy pracę ostatniego tygodnia.

Major jest zrozpaczony. Jeżeli mgły nie zejdą, skończą się nasze zapasy żywności, będziemy musieli wrócić do bazy. Nie będzie już czasu na powrót wgłąb lądu.

Ja jestem optymistą, jak zawsze, niepoprawnym. Mgłę trzeba przeczekać. Jeden dzień pogody i pracę skończymy. Czekamy już trzeci dzień.

W namiocie wilgoć. To trochę śniegu, które zawsze (mimo największych ostrożności) wniesie się na nogach, para z ubrania i garnków wystarczyły dla utworzenia w rogach namiotu na nieprzemakalnej podłodze małych zbiorniczków brudnej wody.

Męcząca, przymusowa bezczynność — nie możemy już spać. Leżymy w milczeniu — jak mumje — w szarych śpiworach. Major jest zdenerwowany. Raz po raz zapala papierosa. Wreszcie (no, to już całkiem źle) bierze się do opisywania naszej podróży. Tak się zapalił, że nawet propozycja buljonu z «maggi» na suszonych jarzynach (t. zw. zupki à la Mogilnicki) nie zdołała go wyrwać z poetyckiego natchnienia.

Na dworze cisza. Najlżejszy nawet podmuch wiatru nie zwiastuje zmiany pogody.

10 sierpnia. Jest już po północy, nie mogę jednak spać. Lecz co to? Od dłuższej już chwili słyszę, tak dobrze mi znany, śpiew dubeltówki Majora,



Fot. W. Biernawski.

Na lodowcu Pencka (na zdjęciu S. Siedlecki i mjr. A. Zawadzki).

pozostawionej poza namiotem. Cichutki gwizd, dwugłos wygrywany przez wiatr. Rozwiązuję więc worek arktycznego wejścia. Wokoło półmrok gęstej mgły, tylko nawprost nas... nie wierzę własnym oczom... bez słowa trącam Majora, żeby nie spłoszyć tego zjawiska.

Ciemno granatowe góry tuż, jakby wymalowane na mgle, którą zaczyna się o kilkanaście metrów od namiotu. Wąziutka, ostra kreska fiordu i sina plamka stawu — kropla farby spadła z pendzla na białe płótno lodowca. Nie chcemy wierzyć, że od tych gór dzieli nas dwadzieścia kilometrów. Nareszcie okno na świat!

Za chwilę jestem na nogach. Wieje silny wiatr. Skąd? Od wschodu — więc będzie pogoda. Wziął silny mróz — po twardej, szklistej skorupie wybiegam na najbliższe wzgórze. Wiatr pędzi mgły. Widzę już szczyty i nasze kamienne kopce. Jest już punkt piąty, dziesiąty, siódmy, czternasty. Jeszcze tylko kawałek puchu zaczepił się o czubek Richthofena.

Szybko zbieramy potrzebne instrumenty. Krótkie podejście na nartach i dalej stromym, piarżystym grzbietem. Szczyt Richthofena — mróz — w środku kamiennej piramidy, ustawionej przed miesiącem, czerwona chorągiew — już w strzępach, zato bambusowe drzewce ubrane chorągiewkami lodu.

I znów, jak tyle razy, Major szybko mierzy kąty, ja zapisuję jego odczyty. Tylko dziś po skończonym pomiarze nie pijemy tradycyjnej herbatki na punkcie. Rozgrzejemy się, zbiegając do obozu, a spieszno nam w dalszą drogę. Dziś jeszcze musimy zrobić obserwacje na odległej stąd o dwanaście kilometrów Bazylice.

Narty zaniosły nas pod sam namiot, nie zostawiwszy nawet ryski na lśniącem szkliwie zmarzniętego śniegu. Przegryzamy coś nie coś, zwijamy namiot, ładujemy go na sanie i ustawiwszy je w kierunku stromego zjazdu z przełęczy, puszczamy luźno. Pędzą, unosząc za sobą obłok śnieżnego pyłu.



Fot. H. W. Mogilnicki (Leica)

SUPANBERGET OD PÓŁNOCY

zmieciongo sznurem uprzęży. Piękny szus na nartach i dalej długi marsz wdół lodowca. Śnieg wdole przechodzi w rozlewiska, na szczęście dziś zamarznięte, i dalej w gołą powierzchnię lodu.

U stóp Bazyliki obóz — i znów idziemy na obserwacje.

Żmudne, bez końca, wznoszenie się stromem, sześćsetmetrowem zboczem. Piarg tak stromy, że pod naszym ciężarem ujeżdżają całe płaty zbocza, urywając się wysoko ponad nami, grożąc kamienną lawiną. Przeklęty statyw! Zawadza o kamienie, powodując długo niemilknący zgiełk i zamieszanie.

Pozioma, długa krawędź grani — na jej końcu kamienny słup, ustawiony czternaście lat temu przez wyprawę norweską — to wspólny węzeł sieci norweskiej i polskiej.

Już tylko z przyzwyczajenia zabieramy się natychmiast do pracy, bo pogoda bezchmurna. Nagrzane powietrze drży lekko, utrudniając obserwacje. W dole czarne, płaskie wybrzeże Fiordu Van Keulena, pokryte srebrną pajęczyną strumieni i wielka biała płaszczyzna lodowca Nathorsta. Potężny huk obwieszcza światu narodziny góry lodowej, wzburzone kręgi wody niosą tę wieść od brzegu do brzegu.

Gratulujemy sobie zakończenia pracy: 300 kilometrów kwadratowych, pokrytych siecią trójkątów, 16 kamiennych piramid — to ślad naszych wysiłków.

Może to już ostatni raz oglądamy ze szczytu «nasz kraj» — trzeba jednak schodzić, bo oczy kleją się do snu.

. . . .

Stefan Bernadzikiewicz

ZIEMIA TORELLA

TEREN DZIAŁANIA POLSKIEJ WYPRAWY POLARNEJ 1934

Z pośród krajów polarnych Spitsbergen jest piątym z kolei najdalej na północ sięgającym lądem po Ziemi Peary na północy Grenlandji (83°40′ szer. półn.), Ziemi Granta na wyspie Ellesmerea (83°7′ szer. półn.), Ziemi Franciszka Józefa (81°50′ szer. półn.) i Ziemi północnej (81°16′ szer. półn.).

Z drugiej strony Spitsbergen jest najbliżej Europy położonym krajem polarnym. Leży on w obrębie szelfu Europy — oddzielony od niej płytkiem Morzem Barentsa. Razem z Ziemią Franciszka Józefa stanowi Spitzbergen północne forpoczty naszego kontynentu.

Jako najłatwiej z Europy dostępny kraj arktyczny stal się Spitsbergen dla badaczy i podróżników — jakby wielką szkołą dla prac polarnych, terenem zdobywania doświadczeń i robienia ostatnich prób przed wyruszeniem w inne, trudniej dostępne zakątki Arktyki. Tutaj pracowały pierwsze wielkie wyprawy naukowe Szwedów, Norwegów, Niemców i Rosjan. Dlatego też po Wyspie Niedźwiedziej — Spitsbergen powinien był i stał się następnym etapem polskich poczynań na Północy.

Z punktu widzenia alpinistycznego niewątpliwie ciekawsza jest północna część Spitsbergenu, zbudowana głównie ze skał krystalicznych i przeobrażonych. Na jej terenie leży najwyższy znany szczyt Spitsbergenu, Mt. Newton 1730 m n. p. m.

Dla naukowca jednak, a w szczególności dla geologa znacznie większe zainteresowanie budzi mało zbadane, gdyż znacznie trudniej dostępne[1]) i bardzo zawiłe w swej budowie geologicznej południe archipelagu. Stało się to jedną z głównych przyczyn skierowania się naszej wyprawy do bardziej «na południe» poło-

[1]) Wybrzeża północno-zachodnie Spitsbergenu osiągalne są dla statków nierzadko nawet w ciągu prawie całej zimy — podczas gdy przy wybrzeżach wschodnich i połudn.-zachodnich lody utrudniają żeglugę prawie w przeciągu całego roku. Przyczyną tych faktów jest szczególny układ ciepłych i zimnych prądów morskich.

żonej Ziemi Torella, która przyciągała nas tem więcej, że wnętrze jej zupełnie jeszcze nieznane czekało na pierwsze przecinające kraj marszruty, na mapę i badania naukowe...

Nazwą Ziemi Torella objęty jest rozległy wycinek Zachodniego Spitsbergenu o obszarze ok. 5.000 km², leżący na południe od Bell Sundu i Van Keulen Fiordu (mniejwięcej 77°30′ szer. geogr. północnej) i na północ od zatoki Horn Sund (77° szer. półn.), który oddziela Ziemię Torella od kraju Południowego Przylądka. Przez jej środek biegnie wyniosłe pasmo górskie dzielące cały kraj na dwie wyraźne połacie, zachodnią i wschodnią.

Na paśmie tym leżą główne kulminacje terenu, zaczynając od najwyższego szczytu Ziemi Torella — Góry Berzeliusa (1205 m) na północy, poprzez Zittelberget (powyżej 1200 m), Supanberget (1095 m), górę Staszyca (991 m), Grań Stanisławskiego (980 m), górę Kopernika (1055 m), górę Curie Skłodowskiej i inne. Grupują się tu prawie wszystkie szczyty mające powyżej 1000 m n. p. m., z dwoma bodaj tylko wyjątkami (szczyt 1033 m w górach Piłsudskiego i Raudfjellet 1014 m). Na przedłużeniu tego pasma, które będę nazywał «pasmem głównem» już po drugiej, południowej stronie Hornsundu wyrasta najwyższy szczyt południowego Spitsbergenu — Hornsundtind (1430 m).

Długość całego pasma głównego w linji prostej wynosi ok. 70 kilometrów.

Od pasma głównego, które na całej swej długości przebija się poprzez lodową powłokę pokrywającą Ziemię Torella odchodzi ku wschodowi i zachodowi szereg odgałęzień, zaznaczonych czasem tylko linjami nunataków lub rozrastającemi się w zupełnie pokaźne łańcuchy górskie — jak naprzykład Góry Piłsudskiego wymiary których można porównywać z naszemi Tatrami Wysokiemi. Od góry Kopernika, kluczowego szczytu przy którym oddziela się łańcuch Gór Piłsudskiego od pasma głównego — do punktu Z. 16 leżącego już na krańcach tego łańcucha, jest prawie dokładnie taka sama odległość jak od Świnicy po Łomnicę.

Małe stosunkowo wyniosłości nad poziom morza wymienianych wzniesień nie podkreślają w wyobraźni czytelnika w dostatecznym stopniu rzeczywistego obrazu terenu, *par excellence* górskiego, z dużemi deniwelacjami i wysokościami względnemi. Tak naprzykład 1200 metrów wysoki masyw Berzeliusa wyrasta tuż nad morzem, wznosząc się ponad poziom tundry i wybrzeży całym swym potężnym wzrostem liczonym od poziomu morza. Ku lodowcowi Hessa, ten sam Berzelius opada kilkusetmetrowem urwiskiem.

Wspaniały nunatak Raudfjellet — osiemsetmetrową jednolitą prawie ścianą wznoszący się ponad poziom południowego ramienia lodowca Torella — śmiałością zarysu swej sylwetki i grani podbijał serca nie tylko alpinistów. Ani chwili naprawdę nie mogłem się dziwić, że myśl o zdobyciu tego pięknego szczytu dosłownie nie pozwalała zasnąć współtowarzyszowi mej wędrówki. I nie wątpię że trzydniowa wyprawa na Raudfjellet, oznaczony skromną kotą 1014 m, należy do jednego z piękniejszych wejść p. H. W. Mogilnickiego.

Strzelisty Hornsundtind tylko 1430 m nad poziom morza wzniesiony, wielokrotnie kusił z oddali pięknym zarysem swych turni alpinistów naszej wyprawy. Do bardzo pięknych ścian należy również przeszło 500-metrowy monolit południowego zakończenia Sofia Kammen, wyrastający z morza dosłownie niemal pionową ścianą ponad wody Horn Sundu.

Jeśli podkreślić jeszcze bardzo duży stopień zlodowacenia całego obszaru i dodać, że linja wiecznych śniegów leży tu już na poziomie 300—400 m n p. m., a liczne lodowce schodzą bezpośrednio do morza, i że więcej niż 80% powierzchni całego kraju pokryte jest lodem, to powinien w oczach naszych zarysować się właściwy obraz tego odległego śnieżnego kraju górskiego.

Przejdźmy teraz z kolei do bliższego zapoznania się z terenem objętym pracami wyprawy.

Od zachodu ograniczony jest on pasmem głównem, które było znane do Supanbergetu dalej zaś na południe zostało poznane dopiero przez naszą wyprawę. Na tym ostatnim odcinku prace nasze przekraczają pasmo główne i obejmują zachodnie jego zbocze aż do granicy obszaru objętego zdjęciami kartograficznemi Norwegów. Na południu sięgają one do 77°12′ szerokości geograficznej, za który przekracza jedynie około 10′ (do 77°) marszruta inż. St. Bernadzikiewicza i St. Siedleckiego, którzy dotarli do lodowca Horna (Hornbreen).

Mówiliśmy już, że najwyższe wzniesienia terenu grupują się na grzbiecie pasma głównego, które tworzy widomą granicę między wschodnią częścią, stanowiącą główny teren prac polskiej wyprawy — i zachodnią objętą badaniami Norwegów i Szwedów.



Fot. H. W. Mogilnicki (Leica).

Szczelina na Lodowcu I-szym.

Wschodnia część kraju rozpada się na szereg naturalnych jednostek, które tworzą cyrki poszczególnych lodowców. Posuwając się od północy są to kolejno: lodowiec Hessa, dwudzielny cyrk lodowca Finsterwaldera, południowo-zachodni i południowy (główny) cyrki lodowca Pencka, lodowiec Nr. 1 (Dobrowolskiego) i lodowiec Polaków.

Wymiary tych cyrków wzrastają w miarę posuwania się ku południowi, to znaczy w tej samej kolejności, w której zostały wyżej wymienione.

Charakter lodowców jest różny. W miarę jak wzrastają ich wymiary stają się one coraz bardziej złożone.

Pierwszy licząc od północy i najmniejszy jest lodowiec Hessa (ok. 5 km² powierzchni i 5,5 km długości). Jest to najprostszy typ pojedyńczego lodowca, składający się z jednego cyrku i jęzora, nie przyjmujący żadnych dopływów. Ongiś łączyły się z nim zanikający obecnie niewielki lodowczyk z północnowschodniej części Berzeliusa, zagrzebany prawie pod swemi morenami, oraz nieistniejący dziś lodowczyk z pod góry Tilas. Oba te lodowce razem wzięte miały powierzchnię najwyżej ok. 2 km².

Lodowiec Finsterwaldera jest znacznie większych wymiarów niż lodowiec Hessa. Powierzchnia jego wynosi ok. 50 km² — długość 13 km. Górna część tego lodowca składa się z dwóch bliźniaczych cyrków, oddzielonych od siebie nieznacznym stosunkowo występem t. zw. Sokolej Góry.

Z prawej (wschodniej) strony przyjmuje on jako dopływy dwa lodowce z gór Heima (Heimfjella), z których każdy jest mniejwięcej wymiarów wyżej opisanego lodowca Hessa. Oprócz tych dwóch lodowców istnieje jeszcze w górach Heima kilka niezbyt wielkich lodowców, które zlewając się razem dochodzą do dużego jeziora zaporowego powstałego z wód topnieniowych tych lodowców, odpływ których zatamował jęzor lodowca Pencka.

Lodowiec Pencka ma długość ok. 25 km. Wraz z dopływami zajmuje on 133 km² powierzchni. Swemi wymiarami zbliżony jest zatem do największego lodowca Alp — lodowca Aletsch, którego długość i powierzchnia wynoszą 23 km i 164 km².

Na lodowiec Pencka składają się zasadniczo lody spływające z trzech dużych cyrków. Największy jest cyrk południowy (t. zw. główny) o powierzchni trzydziestu paru km². Na zachód od niego leży cyrk południowo-zachodni, drugi co do wielkości (ok. 20 km²), oddzielony od głównego cyrku t. zw. «pasmem Pagody» z punktami triangulacyjnemi Z. 1 i Z. 3, odgałęziającem się od Pasma Głównego przy górze Zittelberget.

Oba te cyrki są bardzo skomplikowane w swym kształcie. W zarysie ich można wyróżnić do kilkunastu półksiężycowato zarysowanych nisz, przedzielonych niezbyt silnie zaakcentowanemi żebrami, z których spływają lody do centralnego zagłębienia cyrku. Prócz tego gromadzą się tam również lody z paru cyrków «wyższego piętra», zawieszonych do paruset metrów ponad poziom nagromadzonych w głównym cyrku lodów.

Lepiej zindywidualizowane dopływy lodowca Pencka widać we wschodniej części spływającej z górskiej grupy Richthofena. Są one jednak znacznie mniejsze i żaden z nich nie przekracza powierzchni kilku kilometrów kwadratowych.

Już poniżej linji wiecznego śniegu, która tu leży na poziomie około 400 m n. p. m. łączy się z głównym jęzorem lodowca Pencka dopływ z południowo-

wschodniego cyrku. Lody spływające z tego cyrku jak widać z układu moren środkowych pięknie wyrażonych na tym lodowcu, grają niedużą rolę, dając wąski parusetmetrowej zaledwie szerokości strumień topniejący przed osiągnięciem właściwego czoła lodowca. Główna masa lodów, która tworzy 3 do 4 kilometrów szeroki jęzor lodowca Pencka płynie z cyrków południowego i południowo-zachodniego, dając dwa strumienie lodowe rozgraniczone wałem moreny środkowej.

L o d o w i e c N a t h o r s t a — największy ze znanych nam lodowców wschodniej części Ziemi Torella — jest głównym lodowcem zatoki Van Keulena. Pięć blisko kilometrów długą i sto metrów wysoką, prostopadle z morza wystającą ścianą lodową zamyka on od wschodu wymieniony fiord.

Działalności tego lodowca przedewszystkiem zawdzięcza swą lodowcową rzeźbę wydłużone i poprzegłębiane koryto Fiordu Van Keulena. Działo się to w czasach niezbyt odległych, gdy lodowiec Nathorsta zapełniał cały fiord a wyżej opisywane lodowce Pencka Finsterwaldera i Hessa oraz lodowce z północnych brzegów Van Keulena, były tylko jego dopływami.

Ale i dziś jeszcze jest to tak potężny lodowiec, że lodów jego starczyłoby w zupełności na zapełnienie całej kotliny nowotarskiej kilkasetmetrowej grubości warstwą lodów.

Patrząc od strony morza widać, że lodowiec Nathorsta składa się z dwu wielkich strumieni lodowych rozdzielonych Górami Arrheniusa, których dotychczas nie dotknęła stopa żadnego człowieka.

Południowe odgałęzienie lodowca Nathorsta powstaje z kolei, jak udało się nam to stwierdzić w czasie naszej wyprawy, z połączenia się czterech dużych lodowców, z których każdy jest conajmniej takich wymiarów jak cały lodowiec Pencka ze wszystkiemi jego dopływami Cały ten skomplikowany i w znacznej części bardzo jeszcze mało znany system lodowca Nathorsta zajmuje, jak wykazują moje przybliżone wyliczenia obszar około 600 do 700 km².

W czasie wyprawy 1934 roku zapoznaliśmy się szczegółowiej tylko z dwoma lewemi dopływami południowego ramienia lodowca Nathorsta: «lodowcem Nr. 1» który miał nosić nazwę lodowca Dobrowolskiego, i na południowy-wschód od niego leżącym lodowcem Polaków.

L o d o w i e c N r. 1 — składa się z południowego (środkowego) i najrozleglejszego cyrku, który dotyka Pasma Głównego, oraz dwóch słabiej zarysowanych wnęk: zachodniej w sąsiedztwie grupy Richthofena i wschodniej w środkowej części pasma Gór Pilsudskiego.

Powierzchnia tego lodowca do linji, na której lody jego zlewają się w jeden jęzor z lodami innych lodowców, tworzących południowe ramię lodowca Nathorsta — wynosi około 110 km².

Jedną z cech różniących lodowiec Nr. 1 od lodowców poprzednio opisanych jest duża ilość szczelin, które grupują się nietylko w najwyższej partji lodowca tworząc szczeliny brzeżne (rimé), ale tną gęstą siecią całą górną i środkową część tego lodowca. W strefie leżącej 400 do 600 m n. p. m. na przestrzeni szeregu kilometrów szczelina od szczeliny odległa jest przeciętnie 10 do 15 metrów. Na wysokości szczytu Z. 14 tworzy się jeszcze większe zgęszczenie szczelin.

L o d o w i e c P o l a k ó w oddzielony od poprzedniego lodowca pasmem Gór Piłsudskiego składa się z wielkiego cyrku południowo-zachodniego i znacznie mniejszego południowego.

W przeciwieństwie do innych lodowców wschodniej części Ziemi Torella, u których przeważają znacznie lepiej rozwinięte lewe (wschodnie) dopływy, lodowiec Polaków ma prawie zupełnie symetrycznie rozłożony system dopływów prawych i lewych.

Dalej na południe od lodowca Polaków znajduje się rozległy obszar lodowcowy, który leży już poza obszarem prac naszej wyprawy, wiążący się z plateau Mendelejewa.

Zupełnie odmiennie niż we wschodniej części Ziemi Torella przedstawia się ugrupowanie lodowców w zachodniej części kraju. Nagromadzenie lodu jest tu znacznie większe. Widać to dobrze na przełęczach pasma głównego, gdzie po zachodniej stronie średni poziom lodu leży przynajmniej o 100—150 metrów wyżej niż po stronie wschodniej.

Pasma wyniosłości dzielące poszczególne doliny lodowcowe są tu znacznie silniej pokryte śniegami. Działy między lodowcami dużo mniej wyraźne. Poszczególne lodowce zrastają się w tej części Ziemi Torella w jeden wielki system lodowców rozchodzących się od centralnej wyżyny lodowej, która znajduje się w okolicy góry Kopernika. Jest to t. zw. plateau lodowe — nazwane przez naszą wyprawę Plateau Amundsena na cześć wielkiego Norwega.



Fot. H. W. Mogilnicki (Leica)

GRAŃ STANISŁAWSKIEGO



Fot. H. W. Mogilnicki (Leica)

OBÓZ NA LODOWCU PENCKA, W GŁĘBI GÓRA STASZICA

Z rozległej tej i prawie płaskiej równiny lodowej, ograniczonej nunatakami wypływają w różnych kierunkach cztery duże lodowce. Pierwszy z nich płynie prawie dokładnie na południe ku Hornsundowi, gdzie nazwany został lodowcem Paierla (Paierlbreen). Południowo-zachodni lodowiec spływa ku południowemu ramieniu lodowca Torella. Północny i północno-zachodni lodowiec dostarczają głów-



Fot. W. Biernawski.

Góra lodowa we Fiordzie van Keulen.
(w głębi z prawej strony czoło Lodowca Nathorsta).

nej masy lodów dla północnego odgałęzienia lodowca Torella. Razem oba ramiona tego ostatnio wymienianego lodowca łączą się w okolicy Raudfjellet i spływają ku otwartemu morzu blisko dwadzieścia kilometrów szerokiem czołem lodowem, największem na zachodnich wybrzeżach Spitsbergenu.

Drugie, mniejsze nieco plateau lodowe leży na dziale między północnym lodowcem Torella i Recherchebreen, płynącym na północ ku zatoce Recherche. Trzeci wreszcie, znacznie już mniejszy płaskowyż lodowy, znajduje się między odgałęzieniami lodowca Recherche i Maria-Antonia.

Linja wiecznych śniegów w zachodniej części Ziemi Torella, która znajduje się po zwróconej ku Atlantykowi stronie pasma głównego, leży na poziomie około 250—300 m n p. m. — we wschodniej zaś bardziej kontynentalnej podnosi się nieco wyżej do 400—450 m n. p. m.

Jęzory lodowców schodzą oczywiście znacznie niżej. Niektóre z nich, jak mówiliśmy, dochodzą do morza i urywają się tu, tworząc wysokie i strome ściany lodowe. Większość lodowców kończy się jednak na lądzie, choć do brzegu zostaje im nieraz zaledwie parusetmetrowa odległość (lod. Pencka, Finsterwaldera, Maria-Antonia i t. d.). Pierwsze przez całe lato i jesień aż do zamarznięcia fiordów krusząc się na swem czole, dostarczają materjału na icebergi, przedziwnego kształtu bryły lodu lodowcowego pływające po morzu i dochodzące niejednokrotnie do dość pokaźnych wymiarów. Między innemi jeden taki pływający blok lodu posłużył majorowi Zawadzkiemu jako punkt, z którego wykonana została piękna panorama górnej części Fiordu Van Keulena dla celów fotogrametrycznych.

Lodowce kończące się na lądzie sypią przed swemi czołami wały moren czołowych — wody zaś spływające z pod tych lodowców tworzą sandry, jakby wielkie płaskie stożki napływowe, złożone z głazów i żwiru i pokryte skomplikowaną siecią potoków.

Analiza morfologiczna rozmieszczenia wałów morenowych lub poprostu porównanie map z przed kilkunastu lat ze stanem obecnym pozwala stwierdzić sze-

reg zmian w położeniu czół lodowców. Najbardziej jaskrawo widać to na lodowcu Nathorsta, czoło którego w porównaniu z mapą Hamberga z 1898 r. leżało w roku 1934 prawie o 6 kilometrów bardziej na wschód, a więc przeciętnie biorąc lodowiec «cofał się» w ciągu roku około 170 metrów.

W związku z szybkiem cofaniem się lodowca Nathorsta pozostaje fantastyczny krajobraz «Leirhauan» (głowy mułowe), jak go nazywali nasi przyjaciele, łowcy Norwedzy z przylądka Alstrand. Są to stożki, wały, turnice i inne, najdziwniejszego kształtu formy, zbudowane ze stwiardniałej suchej gliny morenowej, stojące wśród bajor płynnego błota, podesłane bryłami «martwego lodu» pogrzebanego wśród tych zwalisk kamieni, żwiru i iłu.

Myliłby się jednak ten kto, uogólniając fakt, że lodowiec Nathorsta się cofa, sądziłby, że wszystkie lodowce Ziemi Torella zanikają. Wręcz przeciwnie — już sąsiedni lodowiec Pencka wykazuje ruchy dodatnie, podobnie zresztą jak i lodowiec Finsterwaldera, który wkracza obecnie na swoje stare moreny, usypane już znacznie dawniej. Podobnie również lodowiec Maria-Antonia, prawie pozbawiony moreny czołowej, przekroczył widocznie dawniej usypane przez siebie wały i nasuwa się obecnie stromym, przewieszonym nawet miejscami czołem lodowem na powierzchnię swego sandru.

Oscylacje te — i ich nierównomierności — są jedną z bardzo interesujących i niedostatecznie jeszcze zbadanych zagadek lodowców. Ogólnie biorąc trzeba jednak powiedzieć, że lody obecnie mają raczej tendencje do zanikania. Spitsbergen jest więc w okresie zbliżającego się «interglacjału» (okresu międzylodowcowego) czy też «interstadjału» (okres między dwoma większemi wahnieniami w zasięgu lodowca), jakbyśmy powiedzieli używając stosowanych dla naszych zlodowaceń niżowych terminów.

Zmniejszania się pokrywy lodowej może również pośrednio dowodzić fakt, że cały prawie Spitsbergen wykazuje w ostatnich czasach zdecydowny ruch wynoszący.

Powłoka lodów, której grubość jeszcze dziś wynosi dla Spitsbergenu przeciętnie do kilkuset metrów — dawniej była zaś parokrotnie większa — topniejąc zmniejsza obciążenie, które istniało poprzednio na daną część lądu i ląd jak kra lodowa stopniowo pozbawiona ciężaru powoli, ale statecznie zaczyna unosić się do góry. Równolegle więc z zanikaniem lodowców powinno następować podnoszenie się lądu.

Najlepiej zaobserwujemy zjawiska tego rodzaju na brzegu morza. Tam gdzie ląd się podnosi — morze się cofa. Wyłaniają się z morza kolejno coraz niżej leżące zrównane powierzchnie dawnych plaż, tworzące płaskie, poprzedzielane stopniami tarasy. Szereg takich właśnie tarasów nadmorskich, pokrytych żwirami ze szczątkami mięczaków morskich, udało się zaobserwować piszącemu te słowa na południowym brzegu Van Keulenu. Dolne tarasy leżą na poziomach 15 m, 45 m, 60 m, 70 m i t. d. Najwyższy zaś sięga ponad 300 metrów nad dzisiejszy poziom morza.

Że ruchy wynoszące trwają jeszcze obecnie, świadczą o tem w wielu miejscach kości wielorybów porzucone na wybrzeżach przez łowców, które dziś leżą często w odległości do paruset metrów od linji, do której dochodzi morze w czasie najwyższego przypływu.

Bardzo ważnym czynnikiem, decydującym o możliwości rozwoju życia organicznego w krajach polarnych, jest «dzień polarny», który na Ziemi Torella rozpoczyna się około 7 kwietnia. 24 kwietnia słońce już nie zachodzi i świeci bez przerwy zataczając w ciągu dnia pełne koło nad horyzontem. Rozpoczyna się okres, w czasie którego bardzo łatwo jest zgubić rachubę czasu. Dopiero dnia 20 sierpnia po raz pierwszy słońce ponownie chowa się za horyzontem. Noce są jednak jeszcze w dalszym ciągu jasne do 12 września, w którym to dniu po raz pierwszy po lecie przychodzi krótka, ciemna noc.

W sumie jasność letnia trwa na Ziemi Torella 152 dni — właściwy zaś «dzień polarny» z niezachodzącem słońcem — 118 dni. Nasza wyprawa pracowała na Spitsbergenie od 20 czerwca do 2 września, a więc właściwie w ciągu jednego «dnia polarnego», a pobyt w tym nad wyraz ciekawym kraju przeszedł nam istotnie tak szybko jak jeden niezapomniany piękny dzień!

O ile w czasie surowej zimy polarnej panują na Spitsbergenie duże mrozy i temperatura nieraz opada poniżej —50° C, o tyle lato jest łagodne i przypomina (na wybrzeżu) swym charakterem pogodne dni wczesnej wiosny u nas (koniec marca — początek kwietnia). Po dwu i pół miesiącach tej «wiosny» nie przychodzi jednak lato — ale ponownie wraca zima.

Średnia temperatura w Bazie (wedle zapisu termografu) za cały okres naszego pobytu wyniosła około + 4° C. Najcieplejszy był okres w pierwszej dekadzie

sierpnia, kiedy temperatura osiągała maksimum dochodzące do blisko + 10° C. Średnia zaś od 1 do 15 sierpnia wyniosła + 5,75° C. Najchłodniejszy był koniec czerwca (średnia za ostatnią dekadę tego miesiąca: około +2°) i koniec sierpnia, kiedy temperatura parokrotnie spadała do — 1° C.

W głębi lądu, na właściwym terenie pracy naszej wyprawy było o wiele chłodniej i nawet w środku «lata» nierzadkie były temperatury poniżej zera. Szczególnie duże różnice temperatury dawały się odczuć przy przejściu z miejsc nasłonecznionych w cień.

Wielkiem utrudnieniem, które nasuwa klimat polarno-morski Spitsbergenu obok wiatrów, są częste i uporczywe mgły, zmuszające do przerywania pracy i przymusowego pozostawania w namiocie nieraz przez parę dni. Miarą tego może być fakt, że za cały okres naszego pobytu triangulator miał zaledwie 13 dni możliwych do obserwacji, fotogrametra zaś mógł robić swoje zdjęcia tylko w ciągu 15 dni.

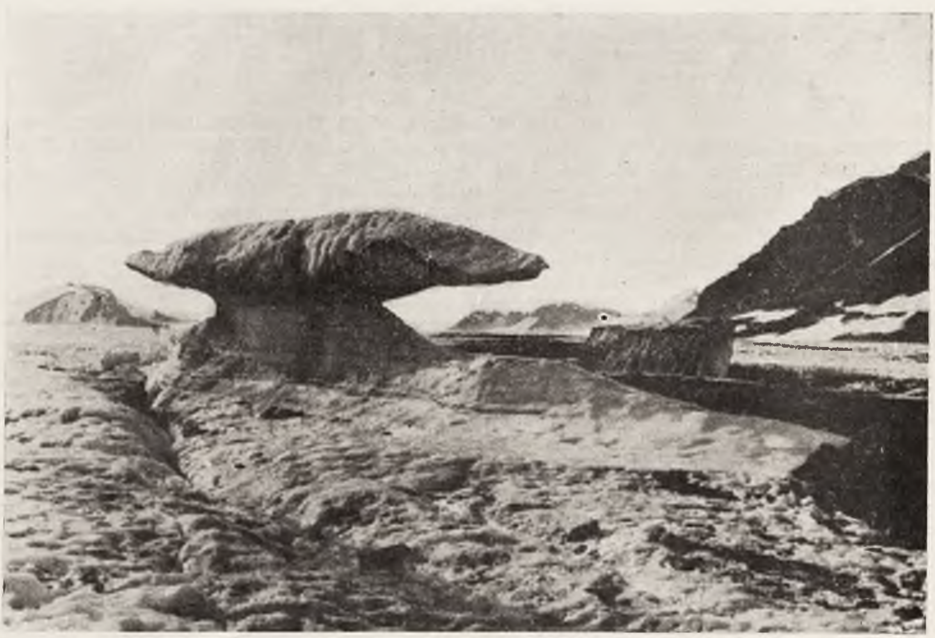
Sprzyjającą natomiast okolicznością są małe opady w lecie. Przeważająca część opadu (blisko 70%) przypada na półrocze zimowe. Jest to też jeden z ważnych czynników sprzyjających narastaniu lodowców.

Z dokonanego poprzednio przeglądu głównych lodowców Ziemi Torella widzieliśmy, że pokrycie lodami lodowców kraju jest bardzo duże. Jeśli wziąć teren prac naszej wyprawy w całości, to z 685 km², które on obejmuje (bez odcinka na zachód od lodowca Finsterwaldera), obszar pokryty lodem zajmuje 553 km² — to znaczy więcej niż 80%. Zaledwie 19,3% przypada na wolne od lodu skały, tundrę, moreny, jeziora i t. p.

W miarę oddalania się od wybrzeży coraz mniej widać wolnych od lodu przestrzeni. Najlepiej zilustrują nam to liczby. W pierwszej strefie, obejmującej pas do 7 km od brzegu morza, lód zajmuje 40% powierzchni lądu. W drugiej strefie, od 7 do 12,5 km od brzegu morza — 75%. W trzeciej strefie, od 12 5 do 27,5 km od brzegu morza — 88%. W czwartej zaś, obejmującej centrum Ziemi Torella (od 27,5 do 37,5 km) — 95,6%, a więc zaledwie 4,4% powierzchni przypada tu na skaliste, wolne od lodu nunataki!

Na tej niewielkiej stosunkowo powierzchni możliwe jest jednak istnienie roślin.

W pobliżu wybrzeży parokilometrowej szerokości pasem ściele się podmokła bagnista tundra, tu i ówdzie przerywana smugami jęzorów lodowcowych, moren i sandrów. Dominują na niej porosty i mchy, jest również kilkadziesiąt gatunków



Fot. S. Z. Różycki.

Stół lodowy.

roślin kwiatowych. Najczęściej spotykamy tu skalnicę *Saxifraga opositifolia, Drias octopetala*, parę wełnianek, jaskrów, mak polarny. O drzewach lub krzewach oczywiście niema mowy. Niema tu nawet brzozy karłowatej. «Drzewa» reprezentuje jedynie tuż przy ziemi ścieląca się wierzba polarna.

Roślinność nie pokrywa ziemi ciągłą powłoką tworząc zwięzłą darń tak jak przyzwyczailiśmy się to widzieć na naszych łąkach. Płaszcz roślinności jest nieciągły. Najczęściej skupia się ona w zagłębieniach powstałych między wielokątami «gruntów poligonalnych» i «strumieni ziemi» tworzących się na wiecznie zmarzłem podłożu, które sięga tu do 200 przeszło metrów wgłąb. W ciągu lata odmarza tylko 20 do 30 cm gruba warstwa — głębiej leżą skały stale «zamrożone». Obok wielu ujemnych ma to również i swoje dobre strony — gdyż gdyby nie marzłoć — rozmarznięta błotnista tundra stawałaby się na przeciąg całego lata terenem zupełnie niemożliwym do przebycia.

Na wolnych od śniegów wyniosłościach, niezbyt daleko odległych od brzegów morza, roślinność ma charakter jakby bardziej stepowy. Do szeregu roślin znanych z tundry przybrzeżnej przybywają trawy, których jest tu najwięcej.

Im dalej od brzegu tem szata roślinna jest coraz bardziej uboższa. W odległości około 10 km od wybrzeży pól roślinności jest już bardzo niewiele. Tworzy ona tylko odosobnione niewielkie, malejące w miarę posuwania się w głąb lądu «ogródki», często kilkudziesięciu lub nawet kilkunastu zaledwie metrów kwadratowych powierzchni, otoczone dookoła śniegami lub morzem rumowisk dostarczanych przez niezmiernie intensywne w warunkach polarnych wietrzenie mechaniczne.

Zwały odłamów skalnych pokrywają całe zbocza. Na grzbietach górskich tworzą się gołoborza, bardzo zbliżone do gołoborzy Święto-krzyskich z pasma Łysogórskiego. Powstają tu one przedewszystkiem na skutek częstych wahań temperatury około punktu zamarzania, co ułatwia niezmiernie kruszącą działalność lodu tworzącego się w szczelinach, oraz dość znacznych różnic temperatury skał wystawionych na bezpośrednie działanie słońca i w cieniu.

Najistotniejsze jest rozpadanie się skał na początku lata, gdy góry uwalniają się z szaty śnieżnej. W tym okresie czasu z wielkim hukiem i łoskotem idą wdół lawina za lawiną, zsuwające razem ze śniegami masy głazów, gruzu i rumowisk przygotowane przez wietrzenie mechaniczne na powierzchnię wyściełających doliny lodowców.

Dalej cały ten materjał przenoszony jest przez główny czynnik transportujący tego kraju przez lodowce ku morzu. Lodowce odgrywają więc tu taką rolę jaką u nas rzeki. O normalnym w naszych warunkach transporcie wodnym niema tu prawie zupełnie mowy. W głębi kraju odgrywa on zupełnie minimalną rolę, wysuwając się na plan pierwszy jedynie w najbliżej wybrzeży położonej strefie. Stąd też głównym czynnikiem rzeźbotwórczym wnętrza lądu stają się lawiny i lodowce.

Masy rumowisk, ubóstwo roślinności, brak wody — nasuwają nieraz przychodzące na myśl w czasie wędrówki w głębi lądu, porównanie przemierzanej przez nas krainy — z pustynią. I w istocie zarówno wnętrze Ziemi Torella jak i większość krajów polarnych — są to prawdziwe chłodne pustynie — mające wiele cech wspólnych z pustynnemi obszarami stref cieplejszych.

W obu wypadkach skąpa roślinność składa się z kserofitów, przystosowanych do przetrwania długich okresów suchych.

Świat zwierzęcy, również bardzo nieliczny, reprezentują zwierzęta, które muszą przebywać wielkie przestrzenie, aby zdobyć pożywienie.

Dopiero zbliżając się do wybrzeży spostrzegamy kolosalną zmianę. Pojawiają się potoki i jeziora, intensywna zieleń tundry, wzbogaca się świat zwierzęcy.

Przedewszystkiem rzucają się w oczy niezliczone roje ptactwa: alk, mew, kaczek edredonowych i t. d. Cały ten świat ptasi żyje gromadnie, gnieżdżąc się czy to wśród skał nadbrzeżnych, na żwirowiskach tarasów, czy też na suchszych poletkach tundry.

Ale nie ląd dający im chwilowe schronienie znęcił te wszystkie ptaki do długich wędrówek, aby spędzić lato w krajach polarnych. — Przyciągnęło je morze, z którego niewyczerpalnych zasobów bezpośrednio lub pośrednio czerpią swe pożywienie.

Najbujniejsze życie rozwija się w morzu. Są tam masy wodorostów morskich, najróżnorodniejszego planktonu, nieprzebrane bogactwa rybne, o wiele liczniejszy niż gdziekolwiek indziej świat ssaków morskich (foki, wieloryby i t. d.).

Zwabiony temi bogactwami świata zwierzęcego przywędrował na północ również i człowiek. Przy wjeździe do naszego fiordu koło przylądka Altstrand, założyli Norwegowie małą osadę łowiecką, składającą się z jednego domku, składu i stojaków do suszenia mięsa. Przyjeżdża tu corocznie kilkunastu łowców.

Prócz stacji łowieckiej na przylądku Alstrand i z przewróconej łodzi zbudowanego schroniska łowieckiego, zwanego «Hotel Blanke Kniven» («Hotel na ostrzu noża»), jest jeszcze na Fiordzie Van Keulena mała, opuszczona od kilkunastu lat chatynka w Camp Violet nad Ingebrichtsenbukta z tabliczką: «Northern Exploration Co Ltd — London» — pamiątka po czasach «gorączki węglowej» na Spitsbergenie, która panowała tu już w latach powojennych.

Kończąc ten w ogólnych rzutach naszkicowany zarys objętej naszemi pracami części Ziemi Torella, chcę przypomnieć, że jednym z ważniejszych wyników, obok zdobytych doświadczeń, wykonanych prac, przeprowadzonych badań, zgromadzonych zbiorów i t. d. — jest fakt, że na mapie odległego, lodami pokrytego lądu Spitsbergeńskiego zgłoskami nazwisk wielkich Polaków zapisane zostało nasze «jesteśmy» w apelu międzynarodowej współpracy na terenie krajów polarnych.

STEFAN ZB. RÓŻYCKI

HISTORJA JEDNEJ ŚCIANY

Była to prawdziwie birkenmajerowska historja, chociaż zaczęła się nie od mickiewiczowskiej cytaty. Początek jej był bardziej «nowoczesny», powiedziałbym nawet, że nieco... ekscentryczny. Pod pewnym względem przypominała miłość z matrymonjalnego ogłoszenia — zaczęła się bowiem od fotografji. Nie znaczy to, abym j e j przedtem nie widywał i nie znał «z widzenia»; nigdy jednak dotąd nie stanowiła dla mnie kształtu realnie bliskiego i pożądanego.

Wszystko zaczęło się dopiero od fotografji. Olśniła mnie wtedy i wytrąciła ze zwykłej równowagi, wyznaczonej mi przez zwykłe koleje losu. Spostrzegłem w n i e j tajemniczość, którą zapragnąłem poznać i urok, któremu nie umiałem się oprzeć. Po upływie pięciu minut wiedziałem, że jestem w niej zakochany i że muszę ją zdobyć. Właściwe bowiem przeznaczenie ściany górskiej polega na tem, aby znalazła swego zdobywcę.

Przedtem jednak ujrzałem po raz pierwszy w życiu «symbol ściany niepokonalnej»: południowo-wschodnią ścianę Raptawickiej Turni — olbrzymią płytę wapienną, wystrzelającą ponad udarnionem rumowiskiem Doliny Kościeliskiej, polerowaną gładzią swoich zerw. Był mglisty smętek jesiennego, deszczowego popołudnia i ostry żal, że t a ściana pozostanie nazawsze niczyja..

Ale wschodnia ściana Zadniej Baszty...

Curriculum vitae — krótkie: dwóch Węgrów zawarło z nią dawniej krótkotrwałą i pobieżną znajomość, ale właściwego urwiska nie ruszyli. Możliwości są. A właściwie muszą być! Znów fotosy — coraz lepsze i coraz bardziej instruktywne. I szkice, wykonane kiedyś z przeciwległej grani, notatki i uwagi, kreślone bez żadnej ubocznej myśli — ot tak, raczej dla «kronikarskich» upodobań.

W ciągu kilku miesięcy myśl moja, urzeczona, powraca często do «mojej» ściany. Ale że namiętności trzeba dać ścisłe i logiczne ujęcie, więc już wkrótce tworzę drobiazgowy «przewodnik hipotetyczny» po ścianie: różne drogi widzę i różne warjanty. Oto cztery potężne żebra — filary, podtrzymujące gmach szczytu i poderwane niepokojącemi, nagłemi zerwami. Oto — werżnięte pomiędzy trzy lewe filary — dwa potężne kominy; bielą się kolosalnemi płytami, ginącemi w ciemnych, mokrych i prostopadłych czeluściach, które pewnego rozszalałego wichrem i ulewą dnia rzygały kamiennym gradem na cmentarzyska piargów Mięguszowieckiej Doliny. — Nie! Lepiej dać im spokój. Ale główny, najniżej na piargi schodzący filar musi mieć możliwości. Gdzieindziej — albo niemożliwość, albo interes uboczny, na który doprawdy nie warto tracić czasu, gdy chodzi o poznanie i zdobycie tego, co w ścianie najistotniejsze.

Jakże się przydają notatki, kreślone kiedyś bez żadnej ubocznej my-

sti — ot tak, raczej dla «kronikarskich» upodobań. Obok innych, maszynopis «głównej drogi ścianą» zawiera jednak najwięcej pozycyj niejasnych. Ale jest najważniejszy, więc musi być rozwiązany. Cała droga rysuje mi się jasno i lapidarnie: głównym filarem, aż do skośnej półeczki trawiastej, wywodzącej w lewo ponad dolne zerwy ściany. Powyżej teren jasny. Ale niżej.. Jak obejść te trzy olbrzymie przewieszki — niby ukośne wykusze, wiszące ponad dwustu metrami powietrza? Tylko z prawej strony! Ale jak?... Tylko z prawej strony, i to musi mi wystarczyć. Obejście musi się znaleźć. Nie odkryłem go jeszcze, ale wierzę. że istnieje. Musi istnieć!

Następnego sezonu szpitalny finał nie pozwolił mi nawet zbliżyć się do Zadniej Baszty. A w rok później — wśród tumanów pyłu wapiennego i zgrzytu betoniarek — zaledwie z dzienników mogłem łowić echa dalekich Tatr, tragiczne echa lata 1933-go roku. Los zaś, jako że jest ślepy i podobny złośliwemu i podagrycznemu staremu kawalerowi, wystawił mnie na zakończenie tego «sezonu» na łup niespokojnej zazdrości, przyciszonej dopiero w jakiś czas potem upewnieniem się, że t a m c i ograniczyli się tylko do pobieżnej znów znajomości ze ścianą. To, co było w niej najistotniejsze. wciąż jeszcze czekało na mnie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Więc przyszło wreszcie lato 1934-go roku. Lipiec. Gorączkowe załatwianie «spraw urzędowych», do złudzenia przypominające argentyńskie tradycje «mañany». A potem — zapewne dla «zaostrzenia apetytu» — powódź i niecierpliwe dni krakowskie w oczekiwaniu na pierwszą możliwość przedostania się do Zakopanego. I nareszcie (wszystkie pośrednie momenty niewarte uwagi) — Roztoka. Spotkania — uściski — serdeczność — nowiny. A nazajutrz już z nowym węgierskim znajomym — we dwóch — długie i rekordowe w tempie podejście i krótki trening skalny na ścianie Żabiego Mnicha. Na szczycie ulewa, burza, grad i skulone wyczekiwanie na uspokojenie (jak dotkliwie sieką iskierki elektrycznych wyładowań!). Na zakończenie mokry powrót przez pustkę Białczańskich Stawów. — All right! Zamkovszky jest przemiłym towarzyszem. Pójdziemy razem na Zadnią Basztę, z trzecim — naszym przyjacielem.

Inny cel, który mnie w międzyczasie opętał, i który miał być tatrzańskim rekordem woli, obliczonym na parutygodniowy wysiłek — zawiódł. Właściwie cel nie zawiódł; zawiodły częściowo okoliczności, częściowo umówieni towarzysze. Wycofując się przed startem, woleli zapewne krótsze efekty. Trudno! Inna dwójka wyruszy wkrótce, aby owym rekordem woli zawładnąć. Więc m o g ę teraz myśleć tylko o n i e j — o wschodniej ścianie Zadniej Baszty...

Dni niepogody i przygotowań. «Międzynarodowa ekspedycja» (dosłownie) musi być odpowiednio wyekwipowana. Ilości kilogramów są wprawdzie trochę niepokojące, ale to przecież drobnostka.

Pamiętasz słoneczny dzień naszego wymarszu ze schroniska w Roztoce? Nie przeczuwałem wówczas oczekujących nas burz. Było mi radośnie i lekko. a trzydziestokilowy wór zdawał się, wbrew prawu grawitacji, ciągnąć mię wgórę, «pod Chłopka», skąd znów miałem ujrzeć ścianę moich tęsknot. Pamiętasz, jak tych, którzy wylegli przed ganek schroniska, by asystować naszemu startowi (wyruszaliśmy, jak... na Everest!), zadziwił Pityu, przeskoczywszy «w pełnem obciążeniu» przez wysoką barjerę? Mimo wzmagającego się skwaru, było nam naprawdę lekko i wesoło.

Byliśmy więc pełni nadziei, pracowicie rozpinając nad Małym Stawem Hińczowym seledynowe płótno dużego namiotu, z którego wnętrza można było, leżąc, patrzeć na kryjące zagadkę zerwy mojej ściany. Wiał mocny,

zimny wiatr, rozbłysły roje gwiazd i było bardzo zimno — same dobre prognozy. Następnego dnia mieliśmy wejść w ścianę, której «najsłabszy» punkt był z tej strony szczególnie dobrze widoczny w postaci ciemnej, ukośnej rysy. Tamtędy będziemy musieli pójść!

Paląc ostatniego przed snem papierosa, doprawdy nie przeczuwaliśmy, że zapadająca noc będzie dla nas jedną, długotrwałą i zrezygnowaną walką z usiłującym zawalić namiot huraganem, że poomacku, pospiesznie będziemy pchać do plecaków porozrzucane wokół rzeczy, że z głuchą wściekłością będziemy się mocowali ze zwaloną na nasze głowy płachtą namiotu, usiłującego się nam wyrwać i skoczyć z wichurą w czarną i rozszalałą pustkę nocy, — że krztusząc się wichrem i ulewą, człapać będziemy wdół — byle prędzej, byle wreszcie w zaciszniejsze dno Mięguszowieckiej Doliny...

Popołudniu znów seledynowy namiot jaśnieje na tle melancholijnego półmroku zacisznej polanki. Ostatnie skupienia lasu chronią nas teraz od nowej katastrofy, ale nie ochroni od rezygnacji beznadziejna lejba. Po dwóch dniach — niema co czekać! — rozchodzimy się w trzy różne strony. Za tydzień, 1-go sierpnia popołudniu, stawimy się tutaj na ponowne rendez-vous

Mijając rozwścieczony wydmuch Przełęczy pod Chłopkiem, nie czuję lodowatych strumieni wody, które przesiąkają przez skafander i spływają po drżącem ciele aż do butów. Głuszy wszystko cała gama uczuć — od bezsilnej wściekłości do równie bezsilnego, ale zawziętego smętku oczekiwania

— — — — — — — — — — — — — — — —

Czasami tydzień jest bardzo krótkim okresem czasu, kiedyindziej dłuży się w nieskończoność. Nie skraca tej «nieskończoności» ani towarzyski urok roztockiego schroniska, ani danina, złożona górskiej samotności w odległych okolicach Koperszadów i Białych Stawów, — ani znajomy widok najwspanialszego zakątka Tatr. Dopiero słońce, które tam, nad Mięguszowiecką Doliną wypije wodę, cieknącą po urwiskach wschodniej ściany Zadniej Baszty, rozjaśni nowe nadzieje.

Przyjaciel mój czeka na mnie w Roztoce, więc po ostatnim dniu oczekiwania znów wyruszamy. Ale dla zmylenia czujności nieprzyjaciela, który zazdrosny jest o moją ścianę, okrężną drogą — przez Żelazne Wrota. Mamy dużo czasu; starczy go i na uroczy biwak w namiocie nad Zielonym Stawem w Kaczej — i na niepotrzebne guzy, nabite na jakimś pospolitym maliniaku. Ale nieprzyjaciel jest czujny i wita nas pierwszemi pomrukami grzmotów, gdy z siodła przełęczy zaglądamy ciekawie w zwaliste rozłogi Doliny Złomisk. Poza murem Baszt nieprzyjaciel kłębi się, miota, grzmi i grozi.

Na umówionej polance już stoi seledynowy namiot. Rozkoszna gęba Pitya rozdziawia się na nasz widok i wyrzuca głośne, soczyste i roześmiane przywitanie węgierskie. Ale dalszą rozmowę trzeba prowadzić już niemal krzykiem, aby przekrzyczeć nieustający łomot największej burzy, jaką w Tatrach widzieliśmy. Namiot wprawdzie trzyma się dzielnie, ale nieprzyjaciel z sadyzmem ryczy do uszu coś, co brzmi, jak ponure «*lasciate ogni speranza*», wybijane hukiem piorunów, błyskawicami i jednostajnym gruchotem gradu, stukającego o płócienne ściany naszego domku.

Następnego dnia popołudniu uspokoiło się. Poszliśmy we dwóch — Pityu i ja — nad Szczyrbskie Jezioro. Była orkiestra na tarasie kawiarni, były platynowe blondynki, snujące się leniwie w takt sentymentalnych tang i slowfoxów — kontrastowe intermezzo poprzednich i następnych dni — było i piwo, co «poszło w nogi», i nieco opóźniło powrót. Już pociemku więc wpełzaliśmy do namiotu — «w ramiona» oczekującego nas smętnie przyjaciela, by jego żale za przymusową samotność okupić trzema brzoskwiniami, specjalnie na ten cel przeznaczonemi.

W pół godziny później — równie nieoczekiwane, jak wszystko, co już było — postanowienie: jutro pójdziemy na Zadnią Basztę! Deszcz ustał, ochłodziło się, doliną osuwają się mgły, a między ich kłębami tu i owdzie czernieją ugwieżdżone płachty nieba. Robi się nastrój gorączkowych przygotowań, ale hamuję zbytnią radość, aby nie była znów przedwczesna.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Ściana coraz bliższa. Jej górna część coraz bardziej «kładzie się» i cofa ku rozpłaszczającym się konturom grani szczytowej; dolna staje się coraz bardziej stroma i nieprzystępna. Coraz lepiej ją widzimy. Wielka, płytka depresja w lewych ścianach głównego filara wprowadzi nas w urwisko. Wiążemy się liną. Pójdziemy tylko we dwóch — Pityu i ja — przyjaciel nasz czuje się niedobrze i tylko zabierze spod ściany buty i wszystko to, co można jeszcze odrzucić. Pityu wchodzi w ścianę pierwszy.

Czy mam opisywać, jak przeszliśmy ścianę? Jak borykaliśmy się z niesamowitą kruszyzną stumetrowej depresji, która zdołu wyglądała, jak wielka i bogata w stopnie drabina, a potem wyrzucała spod naszych stóp i dłoni setki kilogramów granitu? Jak zgórą dwie godziny pokonywaliśmy poprzewieszane i gładkie, trzydziestometrowe zacięcie z wiszącemi nad niem blokami, któreśmy potem dla bezpieczeństwa przypuszczalnych następców strącili w przepaść i, krztusząc się (dwutlenek siarki przecież...), patrzyli w drżącem milczeniu na olbrzymią lawinę, która przez kilka minut grzmiała pod nami w urwisku? Jak — pokonawszy główne trudności ściany — gnaliśmy na podobieństwo pospiesznych lokomotyw ku najwyższemu wierzchołkowi, aby stanąć na nim po dziewięciu prawie godzinach od wejścia w skałę?

Poco? Skalną matematykę chwytów, stopni, przewieszek, haków, asekuracji, fałszowanej i niefałszowanej grozy, chwil rozkoszy i zwątpienia — wszyscy znają. Pocóż miałbym się znów rozgrzebywać w tych «fizycznych» momentach wspinaczki? U wejścia w ścianę miałem wielką tremę (.. trzy lata niespełnianych pragnień!). U wejścia w ścianę, o metr nad piargami — odpadłem. Ale dwieście metrów wyżej pokonałem gładko mdlejącemi od wybijania haków asekuracyjnych ramionami najtrudniejszą na ścianie przewieszkę. Przez cały czas «ani na krok» nie zeszliśmy z wytkniętej drogi. Innej nie było. I dlatego na wierzchołku splętliśmy z Pityem nasze dłonie w długim, mocnym i serdecznym uścisku.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

«*Gipfelgedanken*» mogą być huczne i wybuchowe, mogą być również ciche i skupione — takie, których radość wyraża się spokojem i idealną równowagą, i w swej istocie stanowi harmonję pełną i doskonałą. Spoglądam ze szczytowej grani na nisko wdole rozścielone cmentarzyska piargów Mięguszowieckiej Doliny. Wyglądają tuż spoza krawędzi niewidocznych stąd urwisk ś c i a n y, k t ó r a j e s t m o j ą. Czy walczyłem z nią? Nie! Z d o b y ł e m j ą! Walczyłem z jej fragmentami, pokonywałem ich trudności. Ale ściana górska jest nietylko sumą arytmetyczną trudności jej poszczególnych fragmentów. Suma ta może czasem stanowić tylko maleńką cząstkę tego, czem dla taternika m o ż e być ś c i a n a. Ze ścianą w a l c z y «żylasty sportowiec», snob, albo nowoczesny Don Kichot, — taternik ścianę z d o b y w a.

Powie ktoś: symbole... subtelności...

— Nie! Rzeczywistość i kwestja zasadnicza!

Widziałem kiedyś w mglistym smętku jesiennego popołudnia «symbol ściany niepokonalnej» — południowo-wschodnią zerwę Raptawickiej Turni. Gdy przypomnę ją sobie, czuję zawsze ostry żal, że t a ś c i a n a pozostanie

nazawsze niczyja... Właściwe bowiem przeznaczenie ściany górskiej polega na tem, aby miała swego zdobywcę.

Warszawa, w styczniu 1936 r.

ZDZISŁAW DĄBROWSKI

ZADNIA BASZTA. I. wejście środkiem wsch. ściany. Podpisany z Istvánem Zamkovszkym, dnia 3 sierpnia 1934 r.

Pocięta w liczne żebra i depresje, w dolnej swej części niezwykle urwista wsch. ściana Zadniej Baszty rozpada się na dwie wyraźne połacie, stykające się w szerokim filarze *(III)*, którego skały najniżej schodzą na piargi Dol. Mięguszowieckiej (ściana liczy tu prawie 500 m wys.). Pr. połacią zwróconą ku wsch.-pn.-wsch., wiedzie droga nr 312 Przew. J. Ch. i M. Ś. [1]), połać lewą, zwrócona ku wsch.,

Drogi na Zadnią Basztę:

— — — droga 312 Przew. J. Ch. i M. Ś. [*1* = «b. eksponowany, trawiasty zachodzik pod przewieszką»; *2* = «45—50° nachylenia liczące płyty»; *3* = «rynna..., zwracająca uwagę jasnością swych skał»].

—·—·— droga środkiem wsch. ściany, opisana w bież. zeszycie «Taternika».

············ droga od wsch. (l. połacią wsch. ściany), opisana w «Taterniku», r. XVIII/1934, str. 27–28 [*I* = «potężne, w kilka ramion rozdzielające się żebro»; *11—14* = «system trawiastych zachodów i półek»; *12* = «miejsce, gdzie żebro wrasta w urwisko»; *13* = «dwie niewielkie rysy»; *A* = «olbrzymia depresja»; *14* = «szeroki, trawiasty zachód»; *II* = «wybitne, przeciwległe żebro»]

··—·—·· drogi: od wsch. na Djablą Przełęcz (p. opis w «Taterniku», r. XV/1931, str. 93—94) i od pn.-wsch. na Basztową Przełęcz Wyżnią (p. opis w «Krzesanicy», nr. 1, str. 22—23).



ZADNIA BASZTA OD WSCHODU.

Widok z Kopy Popradzkiej. Rysował według fotografij Zdz. Dąbrowski.
(Por. rysunek w «Taterniku», r. XVIII/1934, str. 28).

I = Djabla Turnia [2]). — II = Djabla Przełęcz. — III = Pd. (główny), IV = Środkowy i V = Pn. (najniższy) wierzchołek Zadniej Baszty. — VI = Basztowa Przełęcz Wyżnia. — VII = Mała Capia Turnia. — VIII = Capia Przełączka.

Uwaga: pr. połać ściany przedstawiona jest na rysunku w znacznym skrócie bocznym.

---

[1]) Droga ta została dotąd tylko raz powtórzona (w czasie 3 godz.) przez T. Bernadzikiewicza i T. Pawłowskiego, dnia 21 sierpnia 1934 r. (por. «Taternik», r. XIX, str. 98).

[2]) Nazwę tę nadajemy wysuniętemu ku Dol. Mięguszowieckiej wyskokowi pn.-zach. grani Djablowiny (por. Przew. J. Ch. i M. Ś., tom II, str. 104, wiersz 14—13 od dołu). Jednocześnie wcięciu w grani pomiędzy Djablą Turnią a Djablowiną nadajemy nazwę Djablej Przełączki Wyżniej.

przecina ukosem — omijając zresztą jej dolne urwiska — droga od wsch. opisana w «Taterniku» z r. 1934, str. 27. Droga niżej opisana wiedzie wzmiankowanym filarem, przebywając ścianę w jej głównem wypiętrzeniu.

Na pr. od ujścia na piargi olbrzymiej 200-m. depresji *(B)*, ograniczającej z l. strony dolne partje naszego filara żłobi się w jego l., prawie pionowych ścianach wyraźne, płytkie, 100-m. koryto *(4)*, uchodzące na piargi kominem który tworzy u samego dołu wielką, głęboką nyżę. Wejście w ścianę o 4 m na l. od owej nyży. W pr. zachylonem zacięciem (b. trudno) do koryta i jego dnem, a potem pr. jego ścianą ok. 100 m wgórę (zupełna ekspozycja, prawie bezustannie b. trudno i ryzykownie) — kruchą wątlemi trawkami obficie przetykaną skałą — na wypukłość filara. Stąd wprost wgórę po mocnej skale — minąwszy pas trawiasto-skalistych stopni, który przebiega wpoprzek całego filara i tworzy rodzaj b. eksponowanego, przerywanego zachodu *(5)* — na małą spadzistą ławkę trawiastą, już w pr. ścianach filara. Z niej ok. 20 m wgórę na wygodny trawniczek *(6)* z dobremi do asekuracji blokami, znajdujący się poniżej i na pr. od najmniejszej, najniżej i najbardziej na pr. położonej przewieszki spośród trzech ogromnych, już z doliny dobrze widocznych w połowie wysokości filara przewieszek, powstałych przez oberwanie się skał (3 godz.).

Poprzez poprzewieszane urwiska na pr. od wzmiankowanej przewieszki ciągnie się stąd lekkim ukosem w pr. gładkie płytowe zacięcie, które z doliny — od strony Hińczowych Stawów — widoczne jest w postaci ciemnej rysy. (Tu zaczynają się największe trudności). Od bloków parę m w l. i 4-m. rysą w pr. wskos do zacięcia, poczem ogromnym krokiem w pr. na mały stopieniek w pr. jego ścianie i zaraz powyżej gładkiem pęknięciem pod przewieszką spowrotem na dno zacięcia. Stąd zaraz w pr. wskos na pionową pr. ścianę zacięcia i nią wgórę, poprzez małą przewieszkę i dwa, jeden nad drugim tkwiące, trawiaste stopieńki do kończącego zacięcie 4-m. kominka, wyprowadzającego w l. na następne stanowisko asekuracyjne z blokiem (kopczyk; 30-m. odcinek od trawniczka z blokami nadzwyczaj trudny i ogromnie eksponowany; skała lita). Stąd ok. 20 m zygzakiem wgórę (b. trudno) pod 8-m., pod koniec przewieszoną ściankę, przez którą wprost (nadzwyczaj trudno) na pr. dolny koniec *(7)* trawiastej półki (kopczyk), przecinającej ukośnie pionowe urwiska górnej części filara (3 godz).

Tu koniec właściwych trudności. Półką b. łatwo 30—40 m w l. wskos okrążając wypukłość filara — na jego l. stronę, poczem, w przedłużeniu półki, nieco bardziej ku górze odchylającą się załupą 25 m (dość trudno) na początek szerokiego, spadzistego zachodu *(8)* podnoszącego się w pr. wskos tuż sponad górnego wylotu wspomnianej we wstępie, 200-m. depresji. Stąd łatwemi trawiastemi stopniami skośnie w pr. ponad najwyższe spiętrzenie filara, ponad którem tworzy on niezbyt stromy, tępy grzbiecik. Nim wgórę (po drodze kopczyk) dopóki nie roztraci się on w szarej ścianie o zrujnowanych, gruzem przysutych i niekorzystnie uwarstwionych skałach. Ścianę tę ograniczają z obu stron niewyraźne, płytkie rynny, rozbiegające się ku górze w kształcie litery «V». Ścianą ową zygzakiem wgórę (miejscami dość trudno) w pobliżu pr. rynny na grzędę do stóp środkowej turni szczytowej, gdzie napotykamy drogę 312 Przew. J. Ch. i M. Ś. Drogą tą [płytowo-piarżystym zachodem *(9)*] w l., nieco ku górze na siodełko w potężnem żebrze skalnem *(11)*, opadającem od wyskoku grani, położonego tuż na pd. od przełączki między środkowym a południowym wierzchołkiem Zadniej Baszty [Na żebrze tem z drogą 312 łączy się droga od wsch., poczem obie drogi wiodą żebrem wgórę].

Z siodełka na przeciwną stronę żebra i 30—40 m w l. ku górze do stóp kilkumetrowego kominka (na pr.), którym wgórę na wielką platformę *(10)*, zasłaną głazami (kopczyk), a z niej w l. do oryginalnego, pionowego b. głębokiego komina z zaklinowanemi blokami. Nim w pięknej wspinaczce po mocnej skale na opisany nieco wyżej wyskok grani, skąd granią ku pd.-zach. w kilka minut na pd., główny wierzchołek Zadniej Baszty ($1^1/_2$ godz.).

D r o g a n a d z w y c z a j t r u d n a i b. e k s p o n o w a n a, p o d k a ż d y m w z g l ę d e m p i ę k n a.

Czas pierwszego przejścia: $7^1/_2$ godz. można przy następnych skrócić do ok. 6 godz.

Z. DĄBROWSKI

ŚWISTOWY RÓG

Szedłem późnym wrześniowym wieczorem na Polanę pod Wysoką. Gdzieś z dali dochodził ryk jeleni. Niebo skrzyło się tysiącami gwiazd — potok szu-

miał po kamieniach, — wielki, czarny cień Nawiesistej Turni przewieszał się nad doliną. Ścieżka skręciła nagle i drzewa rozstąpiły się przede mną — przez otwarte drzwi szałasu płonący wewnątrz ogień rzucał na polanę długą smugę światła. Towarzysze czekali na mnie.

Nazajutrz Tadeusz i Wawa poszli na Rumanowy, a my ruszyliśmy w Świstową Dolinę. Słońce wysoko już stało, gdy stanęliśmy u stóp Świstowego Rogu. Staś spojrzał na góry i orzekł, że słońce świeci tak samo w dolinie jak w ścianie, a leżeć jest przyjemniej na miękkiej trawce, niż na twardym granicie. Został więc wdole jako nasz «kibic». Pierwszy wszedł w ścianę Justyn, potem Zosia, na końcu wreszcie ja — biała smuga liny powoli sunęła wgórę. Było żeberko, kominek, auserowy trawers, przewieszki zdawały się zupełnie zamykać nam drogę. Justyn wolno, ale nieustannie, decymetr po decymetrze posuwał się wgórę. Każdy chwyt badał, każdy krok obliczał. Czasem rozlegał się metaliczny dźwięk wbijanego haka. Niebo wgórze było ciemno-błękitne, prawie granatowe — jak w zimie; hen, wdole, czerwieniły się jarzębiny i trawa rudziała na stokach. Dzień był tak jasny, tak słoneczny, jak rzadko się w Tatrach zdarza. Stałem w ścianie na maleńkim przewieszonym baloniku czekając aż towarzysze uporają się z dalszą partją drogi. Słońce grzało przyjemnie — jego ciepłe promienie głaskały moje ciało. upajając je prawie zmysłową pieszczotą. Jakieś dziwne rozleniwienie spływało na mnie — nawet myśleć nic się nie chciało. W tej chwili nie pragnąłem niczego innego, jak tylko, by towarzysze jaknajdłużej walczyli ze skałą, abym ciągle mógł stać na tym balkoniku i patrzeć w słońce.

Gromadka kibiców wdole zwiększyła się — szedł Marusarz z jakimś ceprem na Polski Grzebień — z Roztoki przyszła Hala z Stefanem.

Tymczasem Justyn, lawirując, wydostał się nad przewieszki, potem Zosia cudownie lekko i zwinnie pokonała ausera, potem znów ja męczyłem się nad wybijaniem haków. A dalej był już łatwiejszy teren. Jeszcze sześć lin nieco trudnej wspinaczki i stanęliśmy na szczycie. I znów jedną ścianę, o której niedawno jeszcze tylko marzyliśmy, którą tak niedawno zdobywaliśmy, nie wiedząc czy puści, możemy nazwać naszą ścianą. Z dna dolin począł wypełzać cień i podnosił się coraz wyżej, coraz wyżej, sunąc po ścianie, jakgdyby chciał dosięgnąć naszych stóp i wchłonąć nas w siebie. A szczyty i granie gór żarzyły się purpurą i mieniły złotem zachodzącego słońca, z nad potoków wstawały liljowe mgły, snując ku ujściom żlebów swe wąskie pasma, rozpalona tarcza słoneczna zniżała się coraz bardziej: jeszcze chwila, a zetknie się z zamykającą horyzont granią Rysów i stopi w jedną ognistą masę i góry, i zmrok, pełznący z dna dolin, i nas.

Szybko schodziliśmy łatwą drogą w dolinę. Ciemno już było zupełnie, gdy stanęliśmy na Polanie pod Wysoką — watra wnet zapłonęła — woda w kociołku zawrzała.

Musiałem rozstać się z towarzyszami. Oni pozostawali jeszcze na dalsze wędrówki, a ja znów samotnie schodziłem gwiaździstą nocą w doliny, unosząc z sobą wspomnienie słonecznej, jasnej wspinaczki. Ale już wtedy myślałem: wartoby wejść na Świstowy Róg w zimie «drogą Kuleszyny».

— —

W lutym byłem w Tatrach. Piękna pogoda, słońce, cudowny śnieg, miłe towarzystwo nie-taterniczki i... pojechałem na Chochołowską. A Świstowy Róg czekał.

— —

I doczekał się. Zrobił go... Jurek w towarzystwie swej pięknej kuzynki. Pierwsze wejście! Tylko na szczęście nie tą drogą, o której ja myślałem.

— —

Kiedy w kwietniu stanąłem znowu w zasłanej białym całunem Świstowej Dolinie, towarzyszyła mi tylko Zosia (Justyn pozostał w Warszawie i zajmował się archeologją tudzież prehistoryczkami). Zupełny brak ludzkich śladów na śniegu mile radował oko i zwiastował, że tym razem wspinaczka odbędzie się bez «kibiców». Po słonecznym ranku pogoda popsuła się i kiedy wchodziliśmy w mroczny żleb, którym wiodła droga, chmury wisiały już nisko nad nami. Spojrzeliśmy wbok na naszą letnią drogę — najeżone czarnemi przewiechami, niezbyt wysokie, lecz jakże gładkie urwisko nie wyglądało wcale zachęcająco. Równocześnie w głębi duszy jakieś radosne drgnięcie, jakiś ledwo dostrzegalny błysk dumy: my jednak przeszliśmy tamtędy! I na chwilę stanął mi przed oczami obraz owego wrześniowego dnia.

Tym razem było inaczej. Teraz ja wolno rąbałem w lodzie stopnie i chwyty, a Zosia marznęła na stanowiskach asekuracyjnych. Śnieg, lód, skała, przewieszona ścianka białego nawisu, mroźne uderzenia porywistego wichru... i wreszcie szczyt.

— Trzy dni temu zrobiliśmy Kiezmarską Wyżnią, dzisiaj Świstowy Róg — co zrobimy za trzy dni? — myślę napół głośno.

Zosia uśmiecha się łagodnie. Ona wie, równie dobrze jak ja, że projekty mamy wielkie, lecz... czy pogoda pozwoli je urzeczywistnić?... czy nie ogarnie nas nastrój «roztockiego rozleniwienia»?

Echo przyniosło zdaleka grzmot spadających lawin. Czas wracać. Zeszliśmy tą samą drogą, pokonując dla pośpiechu najniższą, zaśnieżoną część żlebu «nokauskim sposobem». Gdy znaleźliśmy się znowu w dolinie, chmury rozeszły się całkowicie, ukazując granatowe niebo i różowe w ostatnich blaskach słońca wierzchołki najwyższych gór. Nie tracąc czasu, ruszyliśmy wdół, by dotrzeć jeszcze przed zmrokiem na Polanę pod Wysoką do naszych śpiworów i jakże utęsknionego, ciepłego posiłku. Maciej Zajączkowski

ŚWISTOWY RÓG. I. wejście zimowe. Podpisany, z Jadwigą Pierzchalanką, dnia 23 marca 1936 r.

Horarium: Roztoka 5h 30′ — Polana pod Wysoką 7h 15′, — II-gie piętro Dol. Świstowej 9h 30′ — Świstowa Przełęcz Niżnia 10h 20′—10h 30′, — Świstowy Róg 12h 15′—12h 20′, — Przełęcz pod Świstowym Rogiem 12h 35′ Świstowa Przełęcz Niżnia 13h 15′, — Polana pod Wysoką 15h 30′—16h 30′, — Roztoka 17h 30′.

Świstową Przełęcz Niżnią osiągnięto z Dol. Świstowej depresją (rodzaj żlebu), ciągnącą się tuż na l. od ścian Świstowego Rogu, pod koniec trawersując silnie w l. Z przełęczy granią pod uskok szczytowy, w warunkach ówczesnych prawdopodobnie niemożliwy do wzięcia (wiatr halny) — zatem zboczem ok. 15 m wprost wdół, poczem ok. 10 m w l. (ku pd.-wsch.) do wyraźnej stromej rynny, ok. 40 m długiej, pod koniec przybierającej charakter komina. Rynna ta tworzy przedłużenie żlebu, którym wiedzie droga na Świstowy Róg od pd.-zach., zanotowana w «Taterniku», XX, 19, od miejsca, gdzie droga owa opuszcza już żleb. Rynną, poprzez próg i małą przewieszkę, na siodełko w bocznej, pd. grańce Świstowego Rogu gdzie droga krzyżuje się z wspomnianą drogą od pd.-zach. oraz z drogą pd.-zach. ścianą na Świstowy Róg (skąd obie osiągają obelisk szczytowy nie przez poniżej wspomniany stopień lecz wprost przez pd ściankę wierzchołka). Z siodełka nieco wdół, następnie wskos w l. i wgórę pod koniec przez stopień (Przew. J. Ch. i M. Ś., Nr. 824 in fine) na wierzchołek. Ze szczytu drogą Nr 824 na Przełęcz pod Świstowym Rogiem, z której przez nawis, parę m wdół, na stronę Dol. Rówienek, poczem poziomym trawersem, całkowicie śnieżnym na pn.-zach. grań, już poza obeliskiem Świstowego Rogu i nią na Świstową Przełęcz Niżnią.

(W Przew. J. Ch. i M. Ś. pod Nrem 824 mylnie podano w ostatniem zdaniu ominięcie obelisku szczytowego po stronie Dol. Świstowej — w rzeczywistości omija się go zupełnie łatwo po stronie Dol. Rówienek).

Warunki śnieżne dość dobre jedynie na trawersie po stronie Dol. Rówienek głęboki, lawiniasty puch. Pogoda słoneczna przy b. silnym wietrze (halny) Trudności naogół średnie największe we wspomnianej rynnie (olodzony komin).

Jerzy Pierzchała

ŚWISTOWY RÓG. I wejście zimowe od pd.-zach. Podpisani, dnia 11 kwietnia 1936 r.

Horarium: Polana pod Wysoką 8h 00′ — w Dol. Świstowej pod ścianą Świstowego Rogu 10h 25′ — szczyt Świstowego Rogu 15h 00′—15h 10′ — Dol. Świstowa 17h 45′—18h 15′ — Polana pod Wysoką 19h 05′.

Wejścia dokonano żlebem, dzielącym pd.-zach. ścianę Świstowego Rogu na dwie połacie i pd. ścianką obelisku szczytowego (por. rys. w «Taterniku», XX, 19 droga Z. Kuleszyny i M. Łaźniewskiego), zejścia tą samą drogą. Droga, z wyjątkiem dolnych partyj żlebu, które zalegał lawiniasty śnieg, lodowo-skalna. Temperatura powyżej zera, pochmurno, porywisty wiatr. Trudności największe w górnych partjach żlebu i przy wyjściu zeń pod ścianę obelisku szczytowego. Powrót tą samą drogą. Z. WYSOCKA M. ZAJĄCZKOWSKI

Z TATR

Sezon późno-zimowy 1935/36 r.

Bardzo ożywionym ruchem taternickim w marcu i w kwietniu zakończyła się ub. zima, która do końca zwracała swe oblicze przyjaźnie w stosunku do taterników, a z niechęcią ku narciarzom. Warunki bowiem do odbywania wycieczek narciarskich — wskutek nikłej ilości śniegu w dolinach oraz wysokiej naogół temperatury — były właściwie przez całą zimę nieodpowiednie, natomiast korzystne i solidne warunki dla zimowych wypraw taternickich utrzymywały się aż po koniec okresu.

Sezon miał wiele ciekawych momentów i wiele pięknych, pewnie uzyskanych zdobyczy. Przed wszystkiemi należy tu wymienić nowy, wspaniały rekord taternictwa zimowego, osiągnięty całkowitem przejściem zimowem pn. ściany Mięguszowieckiego Szczytu. Na Wielkanoc b. r. padł wreszcie w trzydniowej wspinaczce ów problem, który od lat paru znajdował się w centrum przebojowych zainteresowań taternictwa zimowego. Wrażenie pokonania tej drogi było ogromne. Z przyjemnością — jako dowód dobrze pojętej lojalności sportowej — cytujemy zdanie, które zapisała o tem zwycięstwie zarówno «Karpathen-Post» (nr z dnia 18 kwietnia b. r.) jak i czasopismo «Die Karpathen» (zeszyt z maja b. r.): «Damit wurde die grösste winterliche Erstbesteigung vollführt, die bisher in der Hohen Tatra gewagt worden war».

Ze swej strony, z równą lojalnością musimy podkreślić doskonałe wyniki taternictwa zimowego przewodników spiskich. Takie sukcesy, jak pokonanie Ostrego Szczytu od pn. w lutym, a Gierlachu graniami od Polskiego Grzebienia w marcu, są najlepszemi dowodami sprawności i rozmachu Spiszaków. Również dokonane przez turystów słowackich II prz. zim. drogi z 1926 r. na pn. ścianie Małego Kiezmarskiego Szczytu świadczy zarówno o wysokiej klasie zimowego zwiedzania Tatr po ich południowej stronie, jak i o systematyczności tego zwiedzania (por. «Taternika» XIX, 183).

Taternicki ruch zimowy miał pozatem ubiegłej zimy jeszcze jeden wyraźny kierunek. Oto ze szczególnem upodobaniem obierał sobie jako cel pierwsze wejścia na niezdobyte dotychczas zimą turnie. Zwiedzono zatem: Pańszczycką Turnię, Świstowy Róg, Przednią Jaworową Turnię, Sobkowe i Kapałkowe Turnie, Poślednią Turnię. Tempo, z jakiem zwiedza się nawet mało wybitne byle dziewicze zimą turnie, świadczy, że szybko i nieuchronnie zbliża się chwila, w której również i zimą zabraknie takich niezwiedzonych wierzchołków. Niewiele wolniej dokonywa się również pierwszych przejść przełęczy, w bież. sezonie wpisano w ten sposób w rejestr zdobyczy taternickich trawersowanie Przełęczy pod Młynarzem, Pośledniej Przełęczy, Kiezmarskiej Przełęczy Wyżniej i Modrej Ławki.

Wreszcie należy wymienić kilka nowych dróg na zwiedzone już szczyty, a więc trudne przejście pn.-wsch. ściany Zawratowej Turni, oraz łatwiejsze wejścia na Lodowy Szczyt z Dol. Jaworowej i Świstowy Róg z Dol. Świstowej.

SPRAWY KLUBU

Prace Zarządu.

W dniu 26 kwietnia b. r. odbyło się w Warszawie V. plenarne posiedzenie Zarządu Klubu Wysokogórskiego P. T. T., na którem powzięto szereg uchwał, posuwających naprzód i konkretyzujących prace, przeprowadzane przez Komitet Wykonawczy oraz przez poszczególnych członków Zarządu.

Poniżej podajemy w osobnych notatkach aktualne wyniki tych prac.

Ekspansja alpinistyczna Klubu Wysokogórskiego P. T. T.:

1. Polska Wyprawa Alpinistyczna w Andy Argentyńskie 1936/37 r.

Zagadnienie ekspansji alpinistycznej wysunęło się ostatniemi czasy na czoło prac Zarządu Klubu. Zgodnie z ogłoszoną w poprzednim zeszycie «Taternika» (str. 138) zapowiedzią doprowadzenia do skutku jeszcze w r. b. nowej wyprawy egzotycznej, Zarząd Klubu, przeprowadziwszy odnośne wstępne studja, uchwalił w dniu 26 kwietnia zorganizowanie i wysłanie w jesieni b. r. nowej wyprawy w Andy. Zasadniczym celem wyprawy będzie zbadanie i eksploracja alpinistyczna Andów pomiędzy 26° a 30° szerokości geogr. pd., zwłaszcza zaś grupy Tres Cruces (6956 m?!). Pozatem wchodziłby w rachubę, położony na pn. od Tres Cruces Masyw nienazwany, mający dosięgać 6800 m (?).

Wspomniane grupy górskie znajdują się w stanie argentyńskim Catamarca o kilkaset km na pn. od Mendozy i zaliczają się do najbardziej pustynnych i najmniej zbadanych okolic środkowych Andów. W miarę posuwania się naprzód studjów nad odnośną literaturą, zwłaszcza zaś w wyniku wywiadu, który będzie musiał zostać już przez wyprawę przeprowadzony w Buenos Aires, cel powyższy może ulec pewnym zmianom, bądź uzupełnieniom.

Kierownictwo wyprawą Zarząd powierzył p. Justynowi T. Wojsznisowi, ustalenie zaś składu osobowego wyprawy oraz prowadzenie (do czasu utworzenia właściwego Komitetu Organizacyjnego Wyprawy) wstępnych prac organizacyjnych — Komisji w składzie: J. T. Wojsznis, kierownik wyprawy — przewodniczący, dr. T. Bernadzikiewicz Z. Dąbrowski i z urzędu do Komisji wchodzący prezes Klubu prof. dr M. Sokolowski — członkowie. W chwili obecnej, wskutek ustąpienia z Komisji dr. T. Bernadzikiewicza, Komisja działa w składzie 3-osobowym. Prace organizacyjne posuwają się szybko naprzód, a inicjatywa nowej wyprawy w Andy spotkała się z cennem poparciem szeregu czynników z Ministerstwem Spraw Zagranicznych Wydziałem Turystyki Ministerstwa Komunikacji i Zarządem Głównym Polskiego Tow. Tatrzańskiego na czele. W następnym zeszycie «Taternika» podamy dalsze szczegóły organizacji wyprawy.

2. Komisja Himalajska Klubu Wysokogórskiego P. T. T.

Równocześnie z uchwaleniem wyprawy w Andy — wobec konkretyzujących się koncepcyj himalajskich — Zarząd Klubu powołał do życia osobną Komisję Himalajską, powierzając jej przeprowadzenie studjów i opracowanie szczegółowego planu przyszłej polskiej ekspansji w Himalaje. Na przewodniczącego Komisji Himalajskiej wybrał Zarząd inż. A. Karpińskiego; ponadto wybrano do Komisji inż. J. Bujaka oraz zaproszono świetnego znawcę alpinistycznej literatury himalajskiej, p. Wiesława Drzewieckiego z Warszawy. Do Komisji wchodzi również z urzędu prezes Klubu prof. dr. M. Sokołowski oraz inż. S. Bernadzikiewicz, dokooptowany do Komisji na zasadzie przyznanego jej przez Zarząd Klubu prawa kooptacji. Komisja Himalajska opracowała dotychczas szkicowy plan kompleksu wypraw treningowych, przygotowawczych i właściwych. Doprowadzenie do skutku polskiej ekspansji w Himalajach może się stać w niedalekiej przyszłości kwestja tem realniejszą że — jak wykazały doświadczenia ostatnich lat — eksploracja himalajska nie jest droższa od eksploracji Andów, Afryki środkowej czy Grenlandji, niejednokrotnie zaś wymaga kosztów stosunkowo bardzo niskich, nieprzewyższających sum, któremi dotychczas operował polski alpinizm egzotyczny.

3. Wyprawa Treningowa w Alpy w lecie 1936 r.

W ścisłym związku z przyszłą ekspansją w góry azjatyckie postawiona została, jeszcze w styczniu b. r. uchwalona przez Zarząd Klubu, wyprawa treningowa w Alpy. Kierownictwo wyprawą powierzono inż. A. Karpińskiemu, którego szczegółowy plan organizacji wyprawy został przez Zarząd Klubu oficjalnie w dniu 26 kwietnia b. r. przyjęty. Postanowiono ostatecznie skierować wyprawę w szwajcarskie Alpy Walijskie, obierając za teren działania otoczenie Zermatt jako jeden z najlepszych — z punktu widzenia zadań i programu wyprawy — alpejskich terenów lodowcowo-skalnych. Prace przygotowawcze są obecnie w pełnym toku, a w następnym zeszycie «Taternika» podamy w tej sprawie dalsze szczegóły.

Kursy taternictwa.

W dziedzinie propagandy i pracy wewnętrznej Klub Wysokogórski P. T. T. może się dziś poszczycić pełnem zrozumieniem swej roli u szeregu czynników państwowo-społecznych. Ze szczególnie życzliwem dla Klubu stanowiskiem spotkał się Zarząd w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Inicjatywa Klubu zorganizowania letnich i zimowych kursów taternictwa spotkała się z gorącem poparciem dyrektora P. U. W. F. i P. W., p. gen. Olszyny-Wilczyńskiego oraz p. płk. Zietkiewicza którzy zapewnili Klubowi subwencję na uruchomienie wspomnianych kursów. Ponadto członkowie Klubu Wysokogórskiego poprowadzą organizowany przez P. U. W. F. i P. W. tatrzański kurs

wysokogórski dla oficerów W. P., a Zarząd Klubu uchwalił również obesłanie przez taterników-instruktorów letniego kursu dla nauczycieli szkół średnich, organizowanego przez Oddział Warszawski P. T. T. Nauczyciele ci w przyszłości objęliby fachowe kierownictwo tatrzańskich wycieczek młodzieży, kierując najmłodszą turystykę tatrzańską na właściwe tory, zgodne z ideami, które reprezentuje Polskie Towarzystwo Tatrzańskie.

Nowi członkowie.

Stosownie do § 7 Statutu Klubu podajemy do wiadomości, że pp. dr. Roman Kuratow-Kuratowski (Warszawa), Władysław Midowicz (Schronisko P. T. T. na Babiej Górze) i Jan Staszel (Kraków) zostali przyjęci w poczet członków zwyczajnych Klubu. P. dr. R. Kuratow-Kuratowski przystąpił do Koła Warszawskiego, p. W. Midowicz do Koła Krakowskiego zaś p. J. Staszel do Koła Zakopiańskiego.

Stosownie do uchwały Zarządu Klubu z dnia 12 stycznia 1936 r. podajemy do wiadomości, że pp. Jerzy Grabowski i Jan Lankosz[1]) (Zakopane) zostali przyjęci w poczet członków uczestników Koła Zakopiańskiego, zaś p. Zbigniew Semerau-Siemianowski w poczet członków uczestników Koła Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego P. T. T.

Zgłoszenia członków.

Stosownie do § 7 Statutu Klubu podajemy do wiadomości, że p. Stanisław Motyka (Zakopane) wniósł do Zarządu Klubu podanie o przyjęcie go w poczet członków zwyczajnych Klubu.

Stosownie do uchwały Zarządu Klubu z dnia 12 stycznia 1936 r. podajemy do wiadomości, że p. dr. Marjan Gieysztor (Warszawa) wniósł do Zarządu Koła Warszawskiego podanie o przyjęcie go w poczet członków uczestników Koła Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego P. T. T.

Inż. Jerzy Golcz (Strasbourg, Francja), dotychczasowy członek Koła Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego P. T. T. przeniósł się do Koła Krakowskiego.

Dr. Jerzy Młodziejowski (Poznań) na zasadzie § 10 Statutu Klubu skreślony został przez Zarząd Klubu w dniu 26 kwietnia b. r. z listy członków Klubu Wysokogórskiego P. T. T.

KRONIKA ALPINISTYCZNA

Wyprawę na Kabru, 7316 m w Sikkimie, zorganizowali inżynierowie angielscy C. R. Cooke i G. Schoberth w jesieni 1935 r. Pięciu tragarzy towarzyszyło im, wśród nich sławni z Nanga Parbat Kitar i Angtsering. Dnia 18 listopada 1935 r. dotarł Cooke szczęśliwie do wierzchołka, podczas gdy jego towarzysz nie zdołał już pokonać ostatnich trzystu metrów. Wyprawa wymieniona zyskała sobie znaczną uwagę w sferach himalaistów, jako wyprawa o wyjątkowo, jak na Himalaje, szczupłej ilości uczestników i tragarzy oraz odbyta nieomal już w okresie zimowym (dzięki czemu korzystała jednak ze znacznie lepszej pogody).

Samotnie na Aconcagua. Niemiec Hans Link dokonał samotnie w dniu 22 marca 1936 r. IX wejścia na wierzchołek Aconcagua, umieszczając na nim flagi: olimpijską i argentyńską. Wyprawa Linka trwała w całości 4 dni.

Cerro Sosneado, 5160 m w północnych Andach Patagońskich, zdobył znany alpinista andyjski (Anglik) E. de la Motte w dniu 17 listopada 1935 r. W południowych Andach Patagońskich odkrył w tymże czasie de Agostini, znany włoski badacz Ziemi Ognistej i alpinista, dwa nowe gniazda górskie, które nazwał Marconi i Don Bosco.

Próbę wejścia na Istor-o-nal, 7524 m w Hindukusz przedsięwzięli w sierpniu 1935 r. oficerowie angielscy Denis-Hunt i R. J. Lawder, zupełni nowicjusze w alpiniźmie. Pomimo tego Lawder dotarł na Istor-o-nal do wys. 7200 m, a Denis-Hunt nawet do wys. 7400 m.

Dwie nowe wspinaczki w Atlasie. W rubryce «Courses Nouvelles...» francuskiej Groupe de Haute Montagne przyniósł «Alpinisme» z marca 1936 r., str. 220—221, opis dwu większych wypraw alpinistów francuskich, wykonanych w 1935 r. w Środkowym Wysokim Atlasie. Pierwszy z tych opisów dotyczy całkowitego przejścia Grani Uanums w masywie Tubkalu, odbytego przez Cl. Beaurieux, J. Dresch'a, G. Fabre'a i J. de Lepiney'a w dniach 2—3 czerwca 1935 r. Grań tę już w grudniu 1929 r. atakowali pni J. Guillemin, Campestre, Th. Delaye, Hellé, J. de Lepiney, L. Neltner i A. Plossu, zmuszeni byli jednak obejść ją po pd. stronie, drogą analogiczną mniejwięcej do tej, którą w dniu 24 czerwca 1934 r. szedł na Dżebel Tub-

[1]) W poprzednim zeszycie «Taternika» na str. 141 błędnie wydrukowano imię p. Lankosza.

kal J. A. Szczepański. Później przeszli jej część (łatwiejszą) A. de Pollitzer-Pollenghi, M. Botteri i M. Dugan w dniu 11 sierpnia 1932 r. (por. «Taternik», XIX, 135). Druga, opisana w «Alpinisme» droga przebyła pn.-wsch. grań Amcharas n'Igliua (Cl. Beaurieux, J. Dresch i J. de Lepiney, dnia 29 czerwca 1935 r.).

Opisy te uzupełniła «Alpinisme» uwagą redakcyjną, w której m. i. powiada, że nie zamierza ogłaszać opisów wszystkich nowych dróg przebywanych w Atlasie, «donc la plupart se révèlent faciles à mesure que progresse l'exploration de la chaîne». Ale ich część musi wzbudzać uwagę alpinistów: «il n'y a pas à douter de ce que certaines parois et arêtes encore vierges présenteront de très hautes difficultés».

Jak czytelnikom «Taternika» wiadomo, rzekomą nową drogę w Uanums przeszli w całości jako pierwsi już J. K. Dorawski i J. Kiełpiński dnia 24 czerwca 1934 r., a nową drogę w Amcharas n'Igliua już A. Heckmair, G. Kröner, A. i F. Mohnowie w dniu 30 sierpnia 1932 r. Na uwagę zasługuje okoliczność, że gdy przejście Grani Uanums obliczyli Francuzi na «7 godzin wolnej wspinaczki», zdobywcy podali 3 godz.

Jeszcze o sezonie alpejskim 1935. Do licznych już wzmianek «Taternika» o wynikach zeszłorocznego sezonu alpinistycznego w Alpach («Taternik», XX, 30, 40—41, 110 i 142) dorzucamy ostatnie z najbardziej interesujących danych:

Świetna dwójka sportowa włoska, Nini Pietrasanta i Gabriele Boccalatte, ob wielu innych sukcesów najlepszej miary zdobyła w dniu 12 lipca wsch. ścianę Aiguille de la Brenva: 13 godz. trwała wspinaczka, w końcowych 200 m cały czas skrajnie trudna. Ta sama dwójka — wraz z R. Chabodem i G. Gervasutti'm — dokonała w dniu 16 lipca pierwszego wejścia na Pic Adolphe Rey 3535 m w grupie Tacul. Dymitr Płatonov (naturalizowany we Francji Rosjanin) wraz z Armandem Charlet'em wszedł jako pierwszy wprost od lodowca Nant Blanc na Aiguille Verte (dnia 23 sierpnia). P. Dessaules i E. Seiler zdobyli dnia 14 lipca pn. ściane Balmhorn. Zach. ścianę Schreckhornu przeszli pierwsi, dnia 8 lipca, O. A. Hug i W. Weckert. Wreszcie środek 1200-metrowej, nadzwyczaj trudnej pd. ściany Aiguille de Rochefort pokonali M. Debenedetti i F. Ravelli, w dniach 15—16 lipca.

Wyprawy te i podobne wzbudzają jednomyślny podziw opinji alpinistycznej dla sprawności technicznej i odwagi ich wykonawców, są zresztą bezsprzecznie ostatniemi możliwościami odkrywczemi Alp i jako takie zasługują na tem większy szacunek. Ze zgodnego chóru pochwał wyłamuje się jedynie stale «Alpine Journal», który w każdym swoim tomie nie szczędzi im słów krytyki a nawet pogardy. Mieliśmy je już sposobność cytować («Taternik», XVI, 21, 45), obecnie dopełniamy je wyjątkami z dwu ostatnich tomów «Alpine Journal» (z listopada ub. r. i maja b. r.).

«(Wejścia takie) są zupełnie zmechanizowane, nie liczą się zatem do prawdziwych pierwszych wejść» — pisze «Alpine Journal», a omawiając pokonanie pd. ściany Dent du Géant («Taternik», XX, 110) dodaje: «nie wahamy się oświadczyć, że to «wejście» jest największą profanacją jakiej dotychczas doznał jakikolwiek wierzchołek Alp Zachodnich».

Współczesny odkrywczy alpinizm europejski ze spokojem mija takie sądy.

Anglo-amerykańska wyprawa na Nanda Devi, 7816 m, ma już w jesieni b. r. zaatakować szczyt. w składzie: T. G. Browne, T. Moore, N. Odell i H. Tilman, a zatem alpinistów o głośnem już w świecie imieniu.

Kordyljery, Kaukaz i Atlas atakować będą Niemcy w b. r. W Kordyljery jedzie ekspedycja pod wodzą d-ra Kinzla; biorą w niej m. i. udział A. Awerzger i Erwin Schneider, a celem jest znowu łańcuch Cordillera Blanca w Peru. W Atlas wyruszyli E. Benisch, dr W. Chalt i H. Püchler. Wreszcie do Kaukazu wyjeżdża znowu cały szereg alpinistów, zgrupowanych w kilku osobnych wyprawach (monachijskiej, wiedeńskiej dr Olbricha i i.). Główną uwagę budzi tu nowa wyprawa Austrjackiego Klubu Alpejskiego pod wodzą naszego starego znajomego z Kaukazu, prof. Rudolfa Schwarzgrubera; dr W. Frauenberger, F. Krobath, H. Raditschnig i F. Wolfgang jadą z nim jako uczestnicy, a w programie wyprawy znajduje się dalsza eksploracja masywów Adai-Choch, Suganu i Kosztantau.

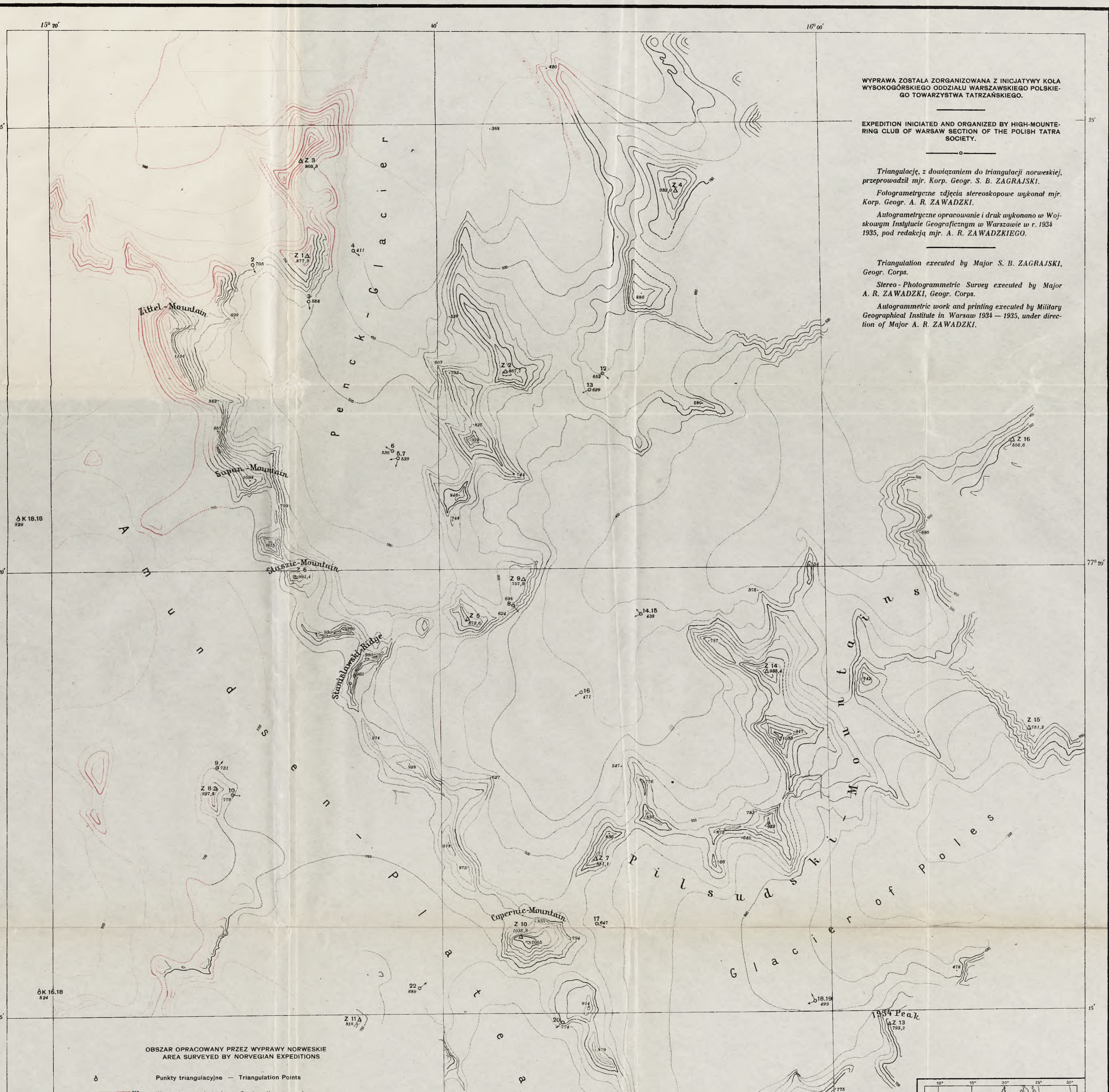
Wydawca: Klub Wysokogórski P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: J. A. Szczepański.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

SPITSBERGEN

Mapa opracowana na podstawie fotogrametrycznych zdjęć stereoskopowych wykonanych w czasie PIERWSZEJ POLSKIEJ WYPRAWY NA SPITSBERGEN, czerwiec — sierpień 1934 r.

Map based upon photogrammetric surveys executed during the FIRST POLISH SPITSBERGEN - EXPEDITION, June — August 1934.



Skala 1: 50 000

1000m. 500 0 1 2 3 4 5 km

2 cm na mapie — 1 km w terenie

Wojskowy Instytut Geograficzny
Warszawa 1935

B V G 5

B V G 5



24. VII. 1908. Fot. Z. Klemensiewicz

ROMAN KORDYS NA WIERZCHOŁKU FERMEDATURM

POLSKA WYPRAWA POLARNA NA SPITSBERGEN 1934

zaopatrywała się w następujących firmach:

Franciszek Bujak, Zakopane — sprzęt narciarski, smary.
Kera, M. Kejlin i J. Rajchenbaum, Warszawa — namiot bazowy, śpiwory, ubrania nieprzemakalne, wory transportowe i t. d.
Kolbjörn Knutsen & Co, Oslo, Norwegja — sanie polarne.
Mizzi Langer-Kauba, Wiedeń, Austrja — sprzęt alpinistyczny.
Wigwam, Warszawa — namioty 2 i 3-osobowe.
Varsovienne, Warszawa — materacyki z miękkiej gumy.

Megacykl, Warszawa — wykonanie dwóch radjostacyj krótkofalowych.
Instytut Radjotechniczny, Warszawa — sprzęt radjotechniczny.
Państwowe Zakłady Tele- i Radjotechniczne, Warszawa — sprzęt radjotechniczny
Polskie Zakłady Philips S. A. ” ” ”
Centra, W. Tomaszewski i Ska, Poznań — ” ”
A. Horkiewicz, ” ” ”
Standard Polton Co, ” ” ”
Natawis, Zakłady Radjotechniczne, ” ” ”
Ica, Warszawa — sprzęt radjotechniczny.
Arco, ” ” ”

Krzysztof Brun i Syn, Warszawa — narzędzia.
B. A. Hjorth & Co, Stockholm, Szwecja — primusy.
Pelikan, Warszawa — naczynia kuchenne aluminjowe.
Tłocznia, Warszawa — opakowania blaszane.

Matuszewski, Warszawa — bielizna jaegerowska.
Start, Warszawa — wyroby wełniane.

Agril, Warszawa — mleko suszone.
B-cia Dawidowscy, Poznań — szynka w konserwach, wędliny.
N. Isachsen, Tromsö, Norwegja — artykuły spożywcze.
Piekarnia Miejska, Warszawa — suchary.
B-cia Pakulscy — artykuły spożywcze.
Pudliszki, Wielkopolska — konserwy jarzynowe, owocowe, soki, masło.
Dezydery Sączewski, Reprezentacja Liptona, Warszawa — herbata.
E. Wedel, Warszawa — czekolada, kakao, herbatniki.

Kodak, Warszawa — negatyw filmowy.
E. Leitz, Wetzlar, Niemcy — za pośr. M. Garfinkel przedstawiciel, Warszawa — wypożyczenie aparatu Leica.
Perutz, Monachjum, Niemcy — materjały fot. negatywowe.

Spiess i Syn, Warszawa — apteczka.

J. Feigenbaum, Warszawa — płyty gramofonowe.
Royal Typewriters w Polsce, Warszawa — wypożyczenie maszyny do pisania.

WYDAWNICTWA
KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

do nabycia za pośrednictwem Administracji «TATERNIKA»

	Zł.
TATERNIK, roczniki 1907, 1908, 1909 i 1911	wyczerpane
Do nabycia pojedyńcze zeszyty:	
Nr. 3 i 6 z 1907 r. Nr. 4—6 z 1908 r. Nr. 1 oraz 3—6 z 1909 r. po . . .	4·—
TATERNIK, rocznik 1910	20·—
— — 1912	20·—
— — 1913 wraz z 2-ma zeszytami rocznika 1914	12·—
— 5 zeszytów za lata 1915—1927	10·—
— roczniki 1928 i 1929 po	4·—
— rocznik 1930	5·—
— rocznik 1931	6·—
— zwyczajne zeszyty pojedyńcze roczników 1929—1935 po .	1·—
— zeszyty specjalne i podwójne po	1·50

KSIĄŻKI I BROSZURY:

I. MIECZYSŁAW KARŁOWICZ W TATRACH. Pisma taternickie i zdjęcia fotograficzne, wydane staraniem Zarządu Sekcji Turystycznej PTT., str. XII + 82 + 1 knlb. + 26 tablic (w tem jedna rotograwjura i 6 światłodruków), tylko dla członków Klubu . . . . . 7·—
cena egzemplarza brosz. . . . . . . 10·—

II. KLEMENSIEWICZ ZYGMUNT: ZASADY TATERNICTWA, z rysunkami J. R., str. VIII + 192; mała 8-ka, opr. . . . . 2·—

— KOMORNICKI STEFAN: Z DZIEJÓW TATERNICTWA, Szkic. Osobne odbicie z «Taternika» 1909, str. 17 . . . . 1·—

— ŁOMNICA. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe na kredowym papierze w 35 numerowanych egzemplarzach, Kraków 1931 . . . . 5·—

— ADRAR N'DEREN. Polska wyprawa alpinistyczna w Wysoki Atlas. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe, Kraków 1935 . . . . . 1·50

— MIECZYSŁAW ŚWIERZ. Ku czci człowieka gór. Praca zbiorowa, w 350 egzemplarzach numerowanych. Kraków 1933 . . . . 1·50

— NOWE DROGI W TATRACH WYSOKICH. Przewodnik perjodyczny. Zeszyt I. Grupa Lodowego Szczytu. Warszawa 1931 (odbito na powielaczu) . . . . wyczerpane
Zeszyt 2. Od Wsch. Żelaznych Wrót do Polskiego Grzebienia. Warszawa 1932 . . . . 1·50

Nakładem Drukarni Narodowej w Krakowie:

III. CHMIELOWSKI JANUSZ i ŚWIERZ MIECZYSŁAW: TATRY WYSOKIE, I. Część ogólna. — Doliny. 4 knlb. + str. 118
IV. — II. Przełęcze i szczyty (od Liljowego po Wagę), str. VIII+178
V. — III. Przełęcze i szczyty (od Wagi po Lodową Przełęcz), 2 knlb. + str. 176.
VI. — IV. Przełęcze i szczyty (od Lodowej Przełęczy po Przełęcz pod Kopą), str. VIII+100

Całość 15·— zł. tylko dla członków Klubu

Wysyła się za pobraniem lub po przekazaniu należytości; na przesyłkę poleconą dołączyć 50 gr.